

I. PRZEGLĄD SYTUACJI STRATEGICZNEJ – ASPEKTY GLOBALNE I REGIONALNE

W ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy nie zdarzyło się, na szczęście, nic nadzwyczajnego. Rok 2005 był bardzo przeciętny. Po ekscesach lat poprzednich nastąpiło uspokojenie sytuacji międzynarodowej, która raczej dryfowała, niż zmierzała w określonym kierunku. Uwikłane w wojnę w Iraku Stany Zjednoczone nie były zdolne do przywództwa. Nie pozwalała na to zresztą jałowość programowa tej administracji, która od samego początku swego urzędowania wolnościowymi frazesami („walką z tyranią”) zasłaniała własny egoizm, samowolę („unilateralizm”) oraz głębszy namysł i poważne działania mogące sprzyjać rozwiązywaniu rzeczywistych problemów międzynarodowych. Nie lepiej wyglądała sytuacja w innych wymiarach polityki światowej. Pomyślana jako największe przedsięwzięcie dyplomatyczne na rok 2005 reforma Narodów Zjednoczonych ugrzęzła w sporach i różnicach pomiędzy mocarstwami i różnymi grupami państw. Upadek traktatu konstytucyjnego w połączeniu z anemicznym przewodnictwem były ciosami dla wcześniej głośno deklarowanych ambicji globalnych Unii Europejskiej. Przywódczej słabości Zachodu towarzyszyła asertywna retoryka Rosji, która całkiem otwarcie ewoluowała w kierunku mocarstwowości nacjonalistyczno-autorytarnej. Jedyne jej wewnętrzna, strukturalna słabość stanowi przeszkodę dla powtórki „od republiki weimarskiej do rządów...”. Zadziwiać może natomiast spokojna pewność siebie Chin, których imponujący rozwój czyni je bardziej odpowiedzialnymi za sytuację w ich otoczeniu i w szerszym środowisku międzynarodowym. Politycznych emocji i niespodzianek tradycyjnie nie brakuje na „szerszym” Bliskim Wschodzie. Przeciągająca się wojna w Iraku i potężna militarna obecność USA w tym kraju nadal destabilizuje sytuację w regionie. Jej przejawem są niepokojące Zachód nuklearne ambicje Iranu. Wraz z odejściem Szarona i zwycięstwem Hamasu w nową (?) fazę dialektyki nadziei i fiaska wszedł konflikt izraelsko-palestyński. Na widzianą w makroskali „normalność” składają się, jak zawsze zresztą, interesujące, przełomowe lub tylko bulwersujące wydarzenia w poszczególnych ważnych miejscach – państwach i regionach – globalnego porządku międzynarodowego. Spod tej pulsującej powierzchni życia międzynarodowego nie wyłaniała się żadna nowa tendencja czy zjawisko, które miałyby zmieniać znaną strukturę i właściwości światowego „nie-ładu”.

REFORMA ONZ – SUKCES MNIEJ NIŻ POŁOWICZNY

W sumie [raport] stanowi daleko idący pakiet zmian. Bądźmy jednak szczerzy wobec nas samych i w stosunku do państw Narodów Zjednoczonych. Nie udało się nam osiągnąć szerokich i fundamentalnych reform, które ja sam i wielu innych uważa za pożądane. Ostre różnice, niektóre z nich merytoryczne i uprawnione, miały swój udział w niedopuszczeniu do takich zmian.

Kofi Annan

Spotkanie na szczycie państw Narodów Zjednoczonych we wrześniu 2005 roku było kulminacyjną fazą wielkiej reformy systemu, zapoczątkowanej dwa lata wcześniej. Ten wysiłek został podjęty zarówno w związku z szybko ujawnionym fiaskiem implementacji postanowień szczytu milenijnego (2000), jak i w obliczu widocznej w kontekście procesów globalizacji oraz amerykańskiej „wojny z terrorem” postępującej marginalizacji ONZ. 60-lecie organizacji było dobrym pretekstem dla formułowania ambitnych postulatów reformatorskich i wizji roli NZ w nowym porządku międzynarodowym. W całym tym przedsięwzięciu chodziło zatem o coś znacznie więcej niż tylko o usprawnienie ONZ-owskiej maszyny lub spowodowanie, aby lepiej odpowiadała na – z reguły rozbieżne – oczekiwania społeczności międzynarodowej. Chodziło o to, aby Narody Zjednoczone, zgodnie z mandatem zapisanym w 1945 roku w dokumencie założycielskim, ucieleśniały wyrażoną tam właśnie wizję porządku międzynarodowego, czy też może bardziej realistycznie – cywilizowały ten porządek w obecnej fazie jego pożądanej ewolucji od Hobbesa do Kanta. Warto powiedzieć, że ten wysiłek został podjęty również z inicjatywy polskiej dyplomacji, która przedstawiła już w 2002 roku zarówno założenia reformy, zarys końcowego rezultatu, jak i ścieżkę dojścia do niego¹.

Punktem wyjścia dla prac reformatorskich stało się powołanie jesienią 2003 roku przez sekretarza generalnego NZ Panelu Wysokiego Szczebla, którego zadaniem zgodnie z jego nazwą (*on Threats, Challenges and Change*) miało być zajęcie się problematyką współczesnych zagrożeń dla bezpieczeństwa i wynikających z nich niezbędnych zmian w zasadach i sposobach działania organizacji. Było to bardzo trudne zadanie, oprócz bowiem oczywistych problemów związanych z dysfunkcją Rady Bezpieczeństwa w ciągu ostatnich kilkunastu lat pojawiły się nowe zjawiska społeczne, także międzynarodowe, związane w dużym stopniu z procesami globalizacji, które niejako pomijało instrumentarium wytworzone dotychczas w ramach NZ. Chodzi z o pojawienie się podmiotów pozapaństwowych, które operują instrumentami siły w stosunkach międzynarodowych (przede wszystkim terroryzm), oraz o ogromną nierównowagę sił, której źródłem jest z jednej strony historycznie bezprecedensowa potęga militarna Stanów Zjednoczonych, z drugiej zaś faktyczna bezbronność znakomitej większości państw świata. Rezultatem tej sytuacji był zarówno zbrodniczy zamach z 11 września i właściwie niemożność ukarania

¹ Zob. szerzej A.D. Rotfeld (red.), *New Political Act for the United Nations*, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Warszawa 2004.

w majestacie prawa sprawców tego czynu, jak i niemożność powstrzymania przez Radę Bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych od ataku zbrojnego na Irak, który nie miał nic wspólnego ani z walką z terroryzmem, ani z usuwaniem zagrożenia bronią masowego rażenia. Odpowiedzią społeczności międzynarodowej zrzeszonej w ONZ musiało być zatem równoczesne wzmocnienie Rady Bezpieczeństwa (zwiększenie jej reprezentatywności i skuteczności zarazem), w tym poszerzenie jej kompetencji reagowania na stanowiące zagrożenie międzynarodowe konflikty (sytuacje) wewnątrzpaństwowe, oraz posunięcia o charakterze strukturalnym. To drugie odnosi się naturalnie do różnych patologii procesów politycznych, społecznych i gospodarczych, które ujawniają się w postaci tzw. państw upadłych i upadających, przestępczości zorganizowanej, terroryzmu czy przewlekłych konfliktów wewnętrznych mających często swoje źródło w kolonialnej przeszłości wielu regionów i narodów. Współczesna wersja imperializmu – zysk bez odpowiedzialności (N. Fergusson) – czyni wiele państw całkowicie otwartymi na zewnętrzne oddziaływania (np. swobodny dostęp korporacji transnarodowych), a jednocześnie ich instytucjonalna i materialna słabość uniemożliwia im wypełnianie normalnych funkcji państwowych na podległym formalnie ich jurysdykcji terytorium. Dotyczy to także zwalczania terrorystów czy różnego rodzaju rebelii i ruchów partyzanckich.

Podjęte w ONZ prace reformatorskie miały tym razem od samego początku całościowy charakter. Już ogłoszony w grudniu 2004 r. raport Panelu Wysokiego Szczebla (szesnastu wybitnych osobistości reprezentujących wszystkie regiony świata, w tym pięć wielkich mocarstw – stałych członków RB NZ) był przejawem bardzo szerokiego podejścia do sprawy bezpieczeństwa międzynarodowego. Zatytułowany *A More Secure World: Our Shared Responsibility* dokument poświęcał tyle samo uwagi destabilizującym życie międzynarodowe kwestiom ubóstwa i nierówności rozwojowych (oraz ich zwalczania) ile prawnoinstytucjonalnym zagadnieniom użycia siły w stosunkach międzynarodowych. Znacznie dalej poszedł sekretarz generalny NZ Kofi Annan. Korzystając z raportu Panelu, Raportu Milenijnego ze stycznia 2005 r. (przygotowanego pod kierunkiem J. Sachsa) oraz znacznie wcześniejszego raportu na temat „odpowiedzialności za ochronę” (przygotowanego jeszcze w grudniu 2001 r. przez International Commission on Intervention and State Sovereignty), w marcu 2005 r. Annan przedstawił własny raport pt. *In Larger Freedom: Towards Development, Security and Human Rights for All*. Zdaniem ekspertów był to **najbardziej ambitny, strategiczny dokument dotyczący mandatu Narodów Zjednoczonych od chwili ich powstania w 1945 roku**². Kofi Annan nie tylko zaproponował **nową podstawę aksjologiczną dla Narodów Zjednoczonych (rozwój – bezpieczeństwo – prawa człowieka), ale też – zgodnie z nią – zasugerował istotne zmiany odnoszące się do priorytetów działalności organizacji, w tym ważne innowacje instytucjonalne**. Najwięcej miejsca w raporcie Annana zajęły sprawy rozwoju. Zostały one ujęte w taki sam sposób jak w Milenijnych Celach Rozwojowych z 2000 roku oraz wsparte rozwiązaniami proponowanymi przez zespół Sachsa. W odniesieniu do spraw bezpieczeństwa Annan zaproponował

² Np. G. Prins, *Lord Castlereagh's return: the significance of Kofi Annan's High Level Panel on Threats, Challenges and Change*, „International Affairs”, marzec 2005.

znaczące rozszerzenie składu Rady Bezpieczeństwa (w dwóch wariantach, powiększenie składu do 24 członków, w tym o sześciu członków stałych) oraz podtrzymał stanowisko Panelu w odniesieniu do zasad i procedur rządzących użyciem siły, które sprowadzało się do potwierdzenia ważności i wystarczalności odnośnych zapisów Karty NZ. Sprawy bezpieczeństwa zostały jednak tutaj ściśle powiązane z ochroną praw człowieka w kierunku, który odpowiadał doświadczeniu międzynarodowemu ostatnich kilkunastu lat. Wprowadzono mianowicie zasadę „odpowiedzialności za ochronę” w takiej postaci, jak została ona sformułowana przez wymienioną wyżej Międzynarodową Komisję. Termin „odpowiedzialności za ochronę” należy uznać za wspaniały wynalazek ratujący dla społeczności międzynarodowej ideę interwencji humanitarnej, słusznej w założeniu, lecz zdeformowanej przez intencje polityczne lub nieudolność operacyjną tych, którzy ją niejednokrotnie wcześniej przeprowadzali (*vide* interwencja NATO w Jugosławii w związku z konfliktem w Kosowie). Od tej pory to na Radzie Bezpieczeństwa ciąży obowiązek „odpowiedzialności za ochronę” w sytuacji masowych naruszeń praw człowieka, w tym zwłaszcza zbrodni ludobójstwa lub czystek etnicznych. Z tym została powiązana kolejna innowacja instytucjonalna w postaci Komisji Budowania Pokoju, której zadaniem powinno być zajmowanie się w sposób całościowy rekonstrukcją państw i społeczeństw „upadłych” po konflikcie. Instytucjonalnym dopełnieniem nowej aksjologii NZ był projekt utworzenia Rady Praw Człowieka na miejsce Komisji Praw Człowieka, co nastąpiło w marcu 2006 r.

Dopiero raport sekretarza generalnego NZ stał się podstawą dla negocjacji wielostronnych w łonie Zgromadzenia Ogólnego, czyli z udziałem wszystkich państw członkowskich, a zmierzających do wypracowania opartej na konsensusie całościowej reformy Narodów Zjednoczonych. Tutaj sprawa stała się znacznie trudniejsza, na scenie pojawiły się bowiem wszystkie mniej lub bardziej uprawnione interesy mocarstw i grup państw, prawdziwe i wymaginowane lęki, pragnienia rzeczywistej reformy wzmacniającej NZ oraz postawy przyzwalające raczej na dekoracyjne zmiany i faktyczną marginalizację organizacji. Niemal każde państwo i mocarstwo opowiadało się werbalnie **za reformą i bardziej skuteczną ONZ, ale z zastosowaniem reguły znanej z innej sytuacji – „zero strat własnych”**³. Ujmując rzecz najkrócej, niezależnie od tego, jak można ocenić te racje i interesy, od chwili, kiedy sprawę reformy przejęło ZO NZ, czyli państwa członkowskie – rozpoczęło się psucie dokumentu wyjściowego, którym był raport sekretarza generalnego. Po kilku miesiącach takiej pracy został uzgodniony dokument, który zaakceptowali szefowie państw i rządów NZ w czasie największego tego rodzaju zgromadzenia w historii organizacji we wrześniu 2005 r. **Przyjęty na 60-lecie NZ *The World Summit Outcome Document***, który zawiera rezultat wysiłku reformatorskiego (i zabiegów przeciwdziałających), **wzbudził bardzo różne reakcje**. Najtrafniejszą jest chyba

³ Nawet państwa szczerze zainteresowane głęboką reformą ONZ, takie jak Polska, kiedy dochodziło np. do sprawy zmiany kształtu grup regionalnych (w tym likwidacji anachronicznej grupy wschodniej – dawny blok komunistyczny), były temu przeciwnie, mogłyby to bowiem im utrudnić rotacyjne kandydowanie na wybieralne stanowiska w różnych organach ONZ (jednorocznych przewodniczących różnych rad czy komisji).

jednak ta, zawarta w cytacie wstępnym pochodzącym z przemówienia Kofiego Annana na tej konferencji: nie o taką reformę nam chodziło. Co nie oznacza, iż ustalenia dokumentu są bez wartości. Przeciwnie, niektóre z nich mają znaczenie wręcz zasadnicze i przełomowe.

Dokument końcowy zachowuje, choć często w okrojonej i złagodzonej formie, wiele z istotnych propozycji z raportu Annana, który przecież nie był tekstem autorskim, lecz wynikiem długiej i szerokiej debaty w łonie organizacji, choć prowadzonej poza ramami jej konstytucyjnych organów. *The Outcome Document* podtrzymuje przyjętą w raporcie nową aksjologię NZ, która podnosi rangę spraw społecznych oraz praw człowieka w życiu międzynarodowym. Jeśli chodzi o sprawy społeczne, to trudność w mierzeniu się z nimi przez ONZ polega na tym, że w skali międzynarodowej i wewnętrznej łączą się one z procesami globalizacji, na które organizacja nie ma większego wpływu. Jak przyznaje dyrektor zarządzający Międzynarodowego Funduszu Walutowego Rodrigo de Rato, mamy do czynienia z „narastaniem gospodarczej nierównowagi w skali światowej. Ta nierównowaga przejawia się w fakcie, iż jedne kraje mają olbrzymie nadwyżki w handlu, a inne – gigantyczny deficyt”. Aby sprostać wyzwaniom związanym z procesami globalizacji, rządy muszą mieć do dyspozycji nowe, skuteczne narzędzia, a dalece nie wszystkie mogą się w nie wyposażyć. Jednak bez zmierzenia się z globalizacją dystans będzie narastać. Trwająca od listopada runda handlowa (z Doha) bynajmniej nie sprzyja jego zmniejszeniu. Zapowiadane korzyści dla krajów rozwijających się są – jak w przeszłości – znacznie mniejsze, niż to im obiecywano. Pod pewnymi względami państwa najbiedniejsze tracą coraz więcej po kolejnych rundach. Jak się uważa, może to sprawić, iż wkrótce nie zechcą one podpisywać żadnych porozumień tego rodzaju, zwłaszcza że coraz więcej z nich to są kraje demokratyczne, a zatem ich rządy mogą być ukarane za podpisywanie niesprawiedliwych w odczuciu ich narodów porozumień. Tak jak wolny handel nie musi sprzyjać rozwojowi (z pewnością pogłębia bezwzględny dystans), tak demokracja nie musi sprzyjać handlowi. Tak czy inaczej, realizacja powtórzonych w Dokumencie końcowym celów milenijnych rozwoju zależy w ogromnym stopniu od sektora prywatnego, na który ONZ nie ma najmniejszego wpływu, lub od agend pozostających poza ONZ (np. WTO czy MFW)⁴.

O ile problematyka społeczna już wcześniej wypełniała dużą część aktywności (i pochłaniała niemałą część jej zasobów organizacji), o tyle miejsce praw człowieka było przedmiotem kontrowersji i kontestacji. Teraz **prawa człowieka uzyskują nie tylko ważną pozycję, ale i zapisane prawo obywatelstwa pośród głównych celów działania NZ**. Dzieje się tak przede wszystkim dzięki ustanowieniu Rady Praw Człowieka, której głównym zadaniem – zgodnie z dokumentem – jest zajmowanie się „sytuacjami naruszeń praw człowieka, włączając w to systematyczne i poważne naruszenia, oraz przyjmowanie zaleceń w tych sprawach”. Pamiętajmy przy tym, że ostatnie lata nie są dobrym czasem dla praw człowieka. Ich wagę prze-

⁴ R. de Rato, *Konieczna jest zmiana priorytetów*, „Rzeczpospolita” z 1–2 października 2005 r.; J. Stiglitz, *Dziwna runda rozwoju*, „GW” z 15 grudnia 2005 r.; J. Siegle, *Bringing the D word into the World Bank*, „IHT” z 29 czerwca 2005 r.

słoniły inne zagadnienia, zwłaszcza prowadzona przez USA walka z terroryzmem, która zdaniem administracji Busha może wymagać ograniczeń praw człowieka. Pod wpływem Waszyngtonu zniknął wcześniejszy entuzjazm towarzyszący upowszechnianiu praw człowieka – one same znalazły się w defensywie. Idei praw człowieka nie przysłużyła się zwłaszcza sprawa specjalnych więzień CIA i oficjalne przyzwalanie na stosowanie tortur wobec osób podejrzanych o terroryzm czy zwalczających amerykańską obecność na Bliskim i Środkowym Wschodzie. W tym nowym klimacie możliwe stało się tolerowanie ludobójstwa w Sudanie (Darfur). Nowego rodzaju upolitycznienie praw człowieka dało o sobie znać przy okazji określania składu nowej Rady Praw Człowieka, w której administracja USA chciała zastrzec dla wielkich mocarstw, niczym w RB NZ, stałe miejsce (nie ma tego w Komisji Praw Człowieka)⁵; niezależnie od tego, jakie są ich własne praktyki w tym zakresie.

Istotne znaczenie ma utrzymanie w Dokumencie końcowym ważności postanowień Karty NZ w sprawie **stosowania siły w stosunkach międzynarodowych**. Jak wiadomo, Stany Zjednoczone dążyły do doktrynalnej modyfikacji zasad i kompetencji NZ w tym zakresie przez forsowanie doktryny uderzeń wyprzedzających. To stanowisko zostało odrzucone. Obecne regulacje słusznie uznano za wystarczające. Niestety, nie doszło do pożądanej reformy RB NZ, w tym zwłaszcza rozszerzenia jej składu. Egoistyczne interesy części wielkich mocarstw (w tym szczególnie USA i Chin) wzięły i w tym przypadku górę, choć to właśnie Rada Bezpieczeństwa jest najbardziej skompromitowanym organem NZ, biorąc pod uwagę jej mandat i oczekiwania społeczności międzynarodowej. Administracja Busha postanowiła doprowadzić do faktycznej i doktrynalnej abdykacji Rady Bezpieczeństwa z jej roli monopolisty w zakresie użycia bądź potwierdzania prawa innych do użycia siły. Przyczyniła się do tego strategia bezpieczeństwa USA przyjęta we wrześniu 2002 r. (USA przyznały sobie prawo do stosowania siły poza prawem międzynarodowym) oraz czyny, czyli wojna przeciwko Irakowi wbrew woli RB NZ, a zatem społeczności międzynarodowej. Apologeci tego stanowiska twierdzili, że prawo nie może być przeciwne interesom i woli mocarstw; rolą prawa jest legitymizować ich zachowanie. Skoro RB NZ nie chciała autoryzować wojny przeciwko Irakowi, należy doprowadzić do jej odsunięcia, a Waszyngton powinien ustanowić odzwierciedlający jego hegemoniczną pozycję w świecie „nowy międzynarodowy mechanizm służący utrzymaniu globalnego pokoju i bezpieczeństwa”. Prawo powinno pozostawać w służbie siły⁶. Ten zamach na RB się nie powiódł, należało więc przynajmniej uniemożliwić jej rekonstrukcję i wzmocnienie poprzez proponowane reformy. I to się udało.

Wielkim sukcesem tego reformatorskiego przedsięwzięcia potwierdzonym przez szczyt w Dokumencie końcowym jest uznanie w ramach NZ „odpo-

⁵ N.D. Kristof, *Moral clarity on genocide*, „IHT” z 22 listopada 2005 r.; L. Arbour, *No exceptions to the ban on torture*, „IHT” z 7 grudnia 2005 r. (autorka, która krytykuje przyzwalający stosunek USA i innych państw do tortur, jest Wysokim Komisarzem NZ ds. Praw Człowieka); P. Hicks, *American disdain hurts UN reform*, „IHT” z 10 stycznia 2006 r.

⁶ Taką właśnie doktrynę uzasadniającą stanowisko administracji Busha wyłożył na łamach „Foreign Affairs” (maj–czerwiec 2003) prof. Michael Glennon ze słynnej Fletcher School of Law and Diplomacy w artykule zatytułowanym *Why the Security Council failed*.

wiedzialności za ochronę”; zgodnie z dokumentem chodzi o „ochronę ludności przed ludobójstwem, zbrodniami wojennymi, czystkami etnicznymi i zbrodniami przeciwko ludzkości”. Wykonywanie tej odpowiedzialności przypada na Radę Bezpieczeństwa, zgodnie z Kartą NZ, w tym z jej rozdziałem VII, co naturalnie oznacza prawo, a wręcz obowiązek RB NZ do użycia siły w skrajnych przypadkach w sytuacjach, o których mowa. Ten zapis, jeśli będzie potwierdzony przez mądrą i zarazem odważną praktykę, oznacza przekroczenie Rubikonu w prawie międzynarodowym praw człowieka na jego styku z bezpieczeństwem i zasadami użycia siły. Spotkanie na szczycie i jego Dokument końcowy potwierdziły inicjatywę powołania Komisji Budowania Pokoju według założeń przedstawionych w raporcie Annana.

Krytycy reformy wskazują na nieuzgodnienie definicji terroryzmu, choć nie jest ona przecież przeszkodą w jego zwalczaniu. Wiadomo, że nie doszło do jej uzgodnienia ze względu na niemożliwość włączenia do niej terroryzmu państwowego oraz kontrowersje związane z jego stosowaniem w kontekście walki narodowowyzwoleńczej. Tą bronią posługiwały się jak wiadomo wszystkie ruchy dążące do wyzwolenia, od polskiego (J. Piłsudski) po żydowski (M. Begin). W dokumencie potępia się natomiast wszystkie jego formy niezależnie od tego, kto, kiedy i w jakim celu stosuje terroryzm. Jednocześnie zagrożenie terroryzmem sytuuje się w obrębie rozdziału VII Karty. **Bezsporną porażką szczytu i dokumentu był brak jakiegokolwiek odniesienia do zwalczania proliferacji broni masowego rażenia.** Bezdyskusyjny jest wszakże rosnący stopień tego rodzaju zagrożenia dla bezpieczeństwa międzynarodowego, zwłaszcza dla państw zachodnich. Fiasko szczytu w tym zakresie zostało poprzedzone fiaskiem konferencji przeglądowej poświęconej NPT. Tutaj znajduje się też być może główne źródło problemów i niepowodzeń. Niezależni eksperci słusznie wskazują na negatywną rolę odgrywaną przez administrację Busha w tym kontekście. Chodzi przede wszystkim o ignorowanie przez Waszyngton własnych zobowiązań wynikających z Układu NPT z 1968 roku, a to poprzez program tarczy antyrakietowej (i odejście od ABM), odrzucenie CTBT oraz prace nad nową klasą broni jądrowej. Ponadto USA przymknęły oko na jednostronne wyposażenie się w broń nuklearną przez Indie i Pakistan. Wreszcie, w lipcu 2005 roku, przy okazji wizyty w Waszyngtonie premiera Indii, USA poszły jeszcze dalej, mianowicie postanowiły pomagać temu krajowi w rozwoju technologii nuklearnej, co również pozostaje w sprzeczności z NPT i przez poważnych amerykańskich ekspertów i dyplomatów zostało uznane za akt hipokryzji i „zły dzień dla nieprolifracji”. Jak wiadomo, wsparcie dla Indii stanowi element geostrategicznej gry Waszyngtonu, której głównym celem jest powstrzymanie Chin. W tej sytuacji mało wiarygodne jest twierdzenie Waszyngtonu, iż celem kampanii mającej powstrzymać Iran przed dostępem do broni jądrowej pozostaje troska o nieprolifrację. Uważa się, że prawdziwym celem jest w tym przypadku zwalczanie nielubianego rządu („reżimu”). Ironia tej sytuacji polega także na tym, że prezydent Bush domaga się postawienia sprawy Iranu na forum RB NZ i nałożenia przez nią surowych sankcji ekonomicznych na ten kraj, podczas gdy jeszcze dwa–trzy lata wcześniej uczynił wiele dla ośmieszenia Rady Bezpieczeństwa i odebrania jej mandatu i wiarygodności w sferze bez-

pieczeństwa międzynarodowego. Jednocześnie Waszyngton odrzuca wszelką myśl o strategii inkluzyjnej wobec Iranu, która byłaby nastawiona na włączenie tego kraju w szeroką współpracę międzynarodową, co uczyniłoby Teheran przynajmniej tak wiarygodnym i niespędzającym snu z powiek posiadaczem broni nuklearnej, jak wcześniej właśnie Pakistan czy Indie⁷. Niezależnie od słabości czy niemożności w podejściu Zachodu do sprawy irańskiego programu nuklearnego należy mieć świadomość, że jego ewentualny sukces przy obecnym stanie ducha i umysłu władz w Teheranie byłby źródłem poważnego zagrożenia dla bezpieczeństwa międzynarodowego (*vide m.in.* groźby pod adresem Izraela).

Powojenny świat zna historię wzlotów i upadków ONZ, poznał już wszystkie jej mocne i słabe, złe i dobre strony. Nie zawsze jednak zdaje sobie sprawę z tego, że główną przeszkodą w realizacji celów, jakie stawia przed nią społeczność międzynarodowa, są jej członkowie, którzy najczęściej z egoistycznych pobudek – zwłaszcza popartych potęgą militarno-finansową – unicestwiają mniej czy bardziej istotne projekty, uniemożliwiają rozwiązywanie naprawdę wspólnych problemów. Nawet w przypadku tak oczywistym jak konwencja o ochronie różnorodności językowej i mniejszych kultur przed szkodliwym wpływem globalizacji weto zgłosił ten, kto chciałby przerobić świat na homogenizowaną papkę, w której nie byłoby żadnych przeszkód dla korporacji, fastfoodu, hollywoodzkich oper mydlanych czy najdzikszych internetowych witryn w sieci, której końce (regulatory internetu) znajdują się pod kontrolą jednego kraju⁸. To prawda, nie można uważać za udaną misji ONZ w Kosowie, z którego organizacja chce jak najszybciej wyjść, lecz przypomnijmy, że ONZ weszła tam, by „pozamiatać i zebrać szkło” po nieudanej interwencji NATO i nieprzemyślanej rezolucji RB NZ, która została wymuszona niemalże na reszcie członków Rady przez mocarstwa interweniujące za cenę zaprzestania nonsensownych bombardowań byłej Jugosławii. Lecz zarazem to ta sama organizacja była jedyną, która mogła wywieźć przed pewną śmiercią uzbeckich uchodźców, po tym gdy bliski sojusznik USA w „walce z terrorem” utopił w krwi antyrządowe wystąpienia. Wielcy, jak właśnie USA, mogą sobie radzić sami lub dobierać chętnych do koalicji albo też nawoływać do „rozpędzenia” NZ czy ewentualnie tworzenia rywalizujących z ONZ na różnych polach prywatnych organizacji pozarządowych lub porozumień nieformalnych. Byle tylko uniknąć więzów kępujących swobodę w forsowaniu własnych interesów, więzów – **wartości, norm, reguł, procedur, mechanizmów – bez których społeczność międzynarodowa stałaby się spełnionym snem Hobbesa**⁹. Tymczasem świat potrzebuje sprawnej i skutecznej ONZ.

⁷ S. Talbott, *A bad day for nonproliferation*, „IHT” z 24–25 lipca 2005 r.; A. Giridharadas, *India welcomed as new sort of super power*, „IHT” z 21 lipca 2005 r.; Ch.D. Fergusson, R. Takeyh, *Ban (your) nukes!*, „IHT” z 7 października 2005 r.; I. Davis, *Taking Iran to the UN: A dangerous game*, „IHT” z 4 sierpnia 2005 r.; G. Perkovich, *Security Council must curb Iran*, „IHT” z 12 stycznia 2006 r.

⁸ Przeciwno tej konwencji UNESCO głosowały jedynie dwa państwa: USA i Izrael („IHT” z 19 października 2005 r.).

⁹ W. Jagielski, *ONZ ratuje uzbeckich uchodźców*, „GW” z 29 lipca 2005 r.; N. Wood, *UN seeks to leave Kosovo, but a deal is elusive*, „IHT” z 26 lipca 2005 r.; R. Wedgwood, *UN reform – How about a little competition?*, „IHT” z 6 grudnia 2005 r.; G.J. Mitchell, *Don't write off UN reform just yet*, „IHT” z 12 grudnia 2005 r.

Potrzebuje jej także Ameryka po „irackiej lekcji”. W interesie małych i dużych należy zapewnić powodzenie trwającego od chwili przyjęcia Dokumentu końcowego procesu wdrażania jego postanowień.

USA – *STAYING THE COURSE*, CZYLI DŁUGA WOJNA

Badaczom amerykańskiej polityki należy się współczucie. Nie tyle ze względu na jej stronę etyczno-estetyczną – pod tym względem mają prawo występować różne gusta i światopoglądy. Chodzi o rzecz znacznie bardziej bezsporną, a mianowicie jej **bezprecedensowe ubóstwo programowe**. Od kilku lat cała ta polityka kręci się wokół jednej właściwie sprawy, która ma oczywiście swoje różne aspekty, lecz uparcie pozostaje ta sama. I ten sam pozostaje język, którym o tej sprawie się mówi, te same problemy, które ona implikuje. To bardzo niewiele jak na kraj, który dysponuje historycznie bezprecedensową potęgą i zajmuje bezprecedensową pozycję w świecie. Ów motyw dominujący w polityce USA, chyba jednak nużący po kilku latach, a zarazem **czynnik, za pomocą którego Ameryka chce organizować porządek międzynarodowy, to wojna z terrorem**. Amerykański prezydent, rząd i propaganda podporządkowuje wojnie z terrorem (toczonej rzekomo w Iraku) swój dyskurs, program i aktywność międzynarodową. Wszystko wiąże się tu z wojną. Administracja Busha jest bez reszty zajęta toczeniem wojny i jej uzasadnianiem. Najlepszym tego wyrazem jest język tej administracji. Słowo „wojna” pojawia się w nim najczęściej. Cała retoryka związana z wojną jest zresztą dość prosta; składa się z kilku znanych haseł i słów-wytrychów. W tym prostym języku, zwłaszcza słuchanym na żywo, mającym trafić do milionów odbiorców w USA i na świecie, dominują takie słowa, jak wojna, walka, atak, ofensywa, terror, wróg, zwycięstwo, wolność, zwalczanie tyranii. To jest język nieustającej, permanentnej wojny. Oddaje on świetnie ideologizację i militarystykę myślenia i polityki Stanów Zjednoczonych. Słuchając prezydenta i jego najbliższych współpracowników, zwłaszcza D. Rumsfelda, **można odnieść wrażenie, że znajdujemy się** nie tyle w środku zimnej wojny (np. w trakcie kryzysu karaibskiego), ile **w środku II wojny światowej**. Taki jest właśnie język orędzi wygłaszanych często i żarliwie przez amerykańskiego przywódcę. Warto jednak pamiętać, że w czasie II wojny światowej, gdy ginęły miliony ludzi i gdy fronty wojny rozciągały się na trzech kontynentach, a pod bronią znajdowało się kilkadziesiąt milionów żołnierzy, wtedy prezydent Stanów Zjednoczonych miał więcej do powiedzenia o świecie i do świata niż prezydent USA dzisiaj, gdy świat – choć cieszy się pokojem – stoi przed wieloma poważnymi problemami i potrzebowałby amerykańskiego przywództwa. Jest ono jednak zajęte czymś innym: „global war on terror”. Wojną z terrorem, który – o czym też warto pamiętać – nie stanowi problemu dla większości państw świata; państw nieporównanie słabszych i biedniejszych niż USA. Jednak Biały Dom i jego okolice pochłonięte są jedną obsesją: wojną z terrorem, wojną w Iraku oraz werbalnym szerzeniem wolności i obalaniem tyranii, bo przecież tę wojenną histerię trzeba jakoś uzasadnić.

Spektrum postaw wobec wojny w Iraku mieściło się pomiędzy dwoma poniżej opisanymi i reprezentatywnymi stanowiskami. Pierwsze stanowisko, ideologicz-

nie prowojenne, świetnie wyraża dobrze znany Norman Podhoretz. Ten religijny nieomal neokonserwatysta w pełnym pohukiwań artykule demaskującym „prawdziwe oblicze” przeciwników i krytyków wojny w Iraku, którzy uparcie nie chcą dostrzec zachodzącego tam postępu i symptomów pozytywnych zmian na całym Bliskim Wschodzie, oraz pochwalającym wszelkie metody (także tortury) stosowane przez USA dla odniesienia zwycięstwa i szerzenia wolności, sięgał po historyczne uzasadnienia dla amerykańskiej ofensywy w tym regionie. „Skoro despotyzmy bliskowschodnie zostały stworzone przez Francuzów i Brytyjczyków zaledwie niecałe sto lat temu, to nie ma nic «utopijnego» w pomysłach, aby reżimy zainstalowane przez te dwa zachodnie mocarstwa mogły zostać obalone i zastąpione lepszym systemem politycznym”. Ku pokrzepieniu ducha słaWił też tych, „którzy rozumieją konieczność wojny, jaką wydał nasz kraj, którzy widzą moralną, polityczną i intelektualną odwagę, z jaką George W. Bush do niej przystąpił, i których dumą napawa szlachetny cel, o jaki **Stany Zjednoczone walczą dziś w Iraku – a jeśli trzeba będzie, będą walczyć w całym regionie, którego kluczowym elementem jest właśnie Irak**”. A zatem wojna jako środek zaprowadzenia innego porządku politycznego w całym regionie. Lenin i Trocki mogliby być dumni, iż ich metody polityki nie odeszły wraz z nimi¹⁰. Stanowisko przeciwne wojnie w Iraku dobrze wyraża Charley Reese, konserwatywny publicysta, który pisze: „Widzę w tej wojnie jeden pozytyw, o ile tylko wyciągniemy z niej właściwe wnioski. **Nie powinniśmy już nigdy pozwolić garstce akademickich ideologów i waszyngtońskich prawników niemających bladego pojęcia o realnym świecie, by przejęli kontrolę nad polityką zagraniczną USA.** Tym wszystkim, którzy mienią się ekspertami od Bliskiego Wschodu, następny prezydent powinien zadać dwa pytania: «Czy kiedykolwiek mieszkałeś w jakimś kraju arabskim? Czy umiesz czytać i pisać po arabsku?». Jeśli odpowiedzi będą przeczące, to powinni usłyszeć: «Spadaj, koleś». 2200 amerykańskich żołnierzy najprawdopodobniej by żyło, gdyby Bush zadał te pytania swoim neokonserwatywnym podlegaczom”¹¹. Tradycyjnie, jako Amerykanin, Reese zapomniał tutaj o wielu dziesiątkach tysięcy niewinnych irackich śmiertelnych ofiar tej wojny.

Charley Reese nieprzypadkowo pisze o następnym prezydencie USA, ponieważ ten pozostaje otoczony „garstką akademickich ideologów i waszyngtońskich prawników” (ci drudzy są, o czym powszechnie wiadomo, ściśle powiązani z amerykańskimi koncernami zbrojeniowymi lub zajmującymi się eksploatacją ropy czy „odbudową” Iraku). Aby zatem uniknąć podejrzania o subiektywizm w przypisywaniu prezydentowi USA zredukowanego, militarno-ideologicznego spojrzenia na świat, czyli ograniczenia polityki Ameryki do walki z terroryzmem, która jest w Waszyngtonie równoznaczna z walką o wolność, warto przedstawić tekst oryginalny, także pod względem językowym. Jest nim skrót orędzia prezydenta G.W. Busha o stanie państwa z 31 stycznia 2006 r. Skrót został przygotowany w biurze prasowym Białego Domu.

¹⁰ *Panika wokół Iraku*, „GW” z 28–29 stycznia 2006 r.

¹¹ *Gdy idziesz na wojnę z Arabami*, „GW” z 7–8 stycznia 2006 r.

For Immediate Release
Office of the Press Secretary
January 31, 2006

State of the Union: A Strong America Leading the World

In His State Of The Union Address, President Bush Discussed America's Leadership In The World And Shared His Vision To Lead America Forward. At a time of great consequence, the President laid out an agenda of leadership to act confidently in pursuing the enemies of freedom and to build our prosperity by leading the world economy. The President rejected the roads of isolationism and protectionism and called for cooperation and courage in confronting challenges. America will lead freedom's advance, compete and excel in the global economy, and renew the defining moral commitments of this land, confident of victory.

Leadership Toward Peace In The World

Every Step Toward Freedom In The World Makes Our Country Safer, And So America Will Act Boldly In Freedom's Cause. Today our Nation is committed to an historic, long-term goal: the end of tyranny in our world. On September 11th, 2001, America found that problems originating in a failed and oppressive state seven thousand miles away could bring murder and destruction to our country. Dictatorships shelter terrorists, feed resentment and radicalism, and seek weapons of mass destruction. Democracies replace resentment with hope, respect the rights of their citizens and their neighbors, and join the fight against terror. As we celebrate the spread of freedom in places like Afghanistan and Iraq, we do not forget people living in places like Syria, Burma, Zimbabwe, North Korea, and Iran – because the demands of justice, and the peace of this world, require their freedom as well.

America Will Not Retreat From The World Or Surrender To Evil. In a time of testing, America cannot find security by abandoning commitments and retreating to isolation within our borders. If we were to leave the terrorists alone, they would not leave us alone. They would simply move the battlefield to our own shores. There is no peace or honor in retreat. America rejects the false comfort of isolationism. We accept the call of history to deliver the oppressed and move the world toward peace.

America Is On The Offensive In The War On Terror. America and its allies have killed or captured many of the leaders of the terror networks. For the others, their day will come.

We Remain On The Offensive In Afghanistan. In that country, a fine president and National Assembly are fighting terror while building the institutions of a new democracy.

America Is On The Offensive In Iraq, With A Clear Plan For Victory. First, the Coalition is helping Iraqis build an inclusive government, so that old resentments will be eased and the insurgency will be marginalized. Second, the Coalition is continuing reconstruction efforts and helping the Iraqi government

fight corruption and build a modern economy. Third, Coalition forces are striking terrorist targets and training Iraqi forces. In less than three years, Iraq has gone from dictatorship, to liberation, to sovereignty, to a constitution, to national elections.

The Brutality Of The Terrorists Cannot Stop The Dramatic Progress Of A New Democracy. The Coalition has been relentless in shutting off terrorist infiltration, clearing out insurgent strongholds, and turning over territory to Iraqi security forces. As we make progress on the ground, and Iraqi forces increasingly take the lead, we should be able to further decrease our troop levels, but those decisions will be made by our military commanders, not by politicians in Washington, D.C.

Our Strategy For Victory In Iraq Benefits From Responsible Criticism And Counsel. The effort in Iraq has benefited from responsible criticism and counsel offered by Members of Congress of both parties. The President will continue to reach out and seek good advice. Yet there is a difference between responsible criticism that aims for success and defeatism that refuses to acknowledge anything but failure. However individuals feel about the decisions and debates of the past, our Nation has only one option: We must keep our word, defeat our enemies, and stand behind the men and women of America's military in their vital mission.

Progress Will Continue Across The Middle East As America Offers A Hopeful Alternative To Hatred And Fear. America's offensive against terror involves more than military action, and we are delivering a clear message across the broader Middle East. In parts of the Middle East, there have been steps taken toward reform, but there is more progress to be made. Elections are vital – but they are only the beginning. Raising up a democracy requires the rule of law, protection of minorities, and strong, accountable institutions that last longer than a single vote. The Palestinian people have voted in elections – now the leaders of Hamas must recognize Israel, disarm, reject terrorism and work for a lasting peace. Elsewhere in the Middle East, the repressive regime in Iran is defying the world with its nuclear ambitions, and the nations of the world must not permit the Iranian regime to gain nuclear weapons.

As America Encourages The Spread Of Freedom, We Must Also Spread Prosperity. To overcome dangers in our world, America will encourage economic progress, fight disease, and spread hope in hopeless lands. Isolationism would not only tie our hands in fighting enemies, it would keep America from helping our friends in desperate need. America has taken unprecedented action to fight AIDS and malaria, expand the education of girls, and reward developing nations moving forward with economic and political reform. Short-changing these efforts would increase the suffering and chaos of the world, undercut America's long-term security, and dull the conscience of our country.

The Offensive Against Terrorism Must Continue At Home. The enemy has not lost the desire or capability to attack us. America has superb professionals in law enforcement, intelligence, the military, and homeland security who are protecting America. They deserve our thanks – and they deserve the same tools they

already use to fight drug trafficking and organized crime, so the President called on Congress to reauthorize the Patriot Act.

Winning The War on Terror Requires Learning The Lessons of September 11th. To prevent another attack – based on authority given to the President by the Constitution and by statute – the President has authorized a terrorist surveillance program to aggressively pursue the international communications of suspected al-Qaida operatives and affiliates to and from America. Previous presidents have used the same constitutional authority the President has – and Federal courts have approved the use of that authority. Appropriate Members of Congress have been kept informed. This terrorist surveillance program has helped prevent terrorist attacks. It remains essential to the security of America. If there are people inside our country who are talking with al-Qaida, we want to know about it – because we will not sit back and wait to be hit again.

Tyle stanowisko oficjalne prezentujące politykę USA wobec spraw międzynarodowych¹². **Nie przypadkiem tegoroczne „State of the Union” niektórzy nazwali „State of War”**. A teraz, zgodnie z rzymską regułą, *audiatur et altera pars*. Nie chodzi bynajmniej o krytyków polityki USA z innych państw świata, z Europy czy Bliskiego Wschodu. Chodzi o miarodajne oceny uznanych komentatorów i ekspertów. Komentując aferę doradcy Busha, Karla Rove’a, który dla zatarcia śladów własnych manipulacji informacją na temat przesłanek wojny przeciwko Irakowi ujawnił dane agenta CIA pracującego za granicą, Frank Rich z „The New York Times” (i „International Herald Tribune”) napisał: ofiarą nie jest tutaj agent Wilson pracujący w Nigrze (skąd miał rzekomo pochodzić uran dla Saddama), „prawdziwymi ofiarami są Amerykanie. Prawdziwym winnym nie jest też sam Rove, ale gang, który wysłał amerykańskich synów i córki na wojnę na wydumanym terenie, i w ten sposób odwrócił cenne zasoby ludzkie i inne od zwalczania terrorystów, którzy nas zaatakowali 11 września. To dlatego w tej sprawie stawka jest tak wysoka. Sens tego skandalu polega na zdemaskowaniu fałszywie pomyślanej wojny, a nie zdemaskowaniu sprawy operacyjnego oficera CIA”¹³. Warto zapoznać się także z bezlitosną diagnozą George’a Sorosa. Jego zdaniem, wszczynając osobliwą „wojnę z terrorem”, a zwłaszcza dokonując inwazji na Irak, prezydent Bush przedstawia światu fałszywy program („has set the wrong agenda for the world”). Problemem jest dlań w tym kontekście także amerykańskie społeczeństwo, które przestaje być społeczeństwem otwartym, które porzuca dążenie do prawdy („They want to be entertained, not informed”). „Wojna z terrorem” jest dla niego rezultatem i przejawem „fałszywej interpretacji rzeczywistości”. „Musimy uznać – dodaje – że wojna z terrorem jest koncepcją fałszywą, kontrproduktywną i samoobalającą” („false,

¹² Zob. także G.W. Bush, *Musimy wygrać tę wojnę (orędzie do narodu z grudnia 2005)*, w „GW” z 24–26 grudnia 2005 r.

¹³ F. Rich, *To find Karl Rove, follow the uranium*, „IHT” z 18 lipca 2005 r. oraz *Two wars of the worlds*, „IHT” z 5 lipca 2005 r.; także *It’s Bush-Cheney, not Rove-Libby*, „IHT” z 17 października 2005 r. („The real conspiracy is the one that took us into a reckless war in Iraq”, pisał Rich w tym ostatnim tekście).

counter-productive and self-defeating concept”)¹⁴. Nieprzejednanym krytykiem polityki Busha pozostawał Zbigniew Brzeziński, którego tekst główny zamieszczamy w „Forum Rocznika”. Brzeziński wskazuje cały czas na szkody, jakie administracja Busha wyrządza samej Ameryce oraz w regionach czy państwach, wobec których się angażuje. Problemem staje się coraz bardziej czarno-biała i antyislamska retoryka Busha, który „żyje we własnym świecie, głęboko przekonany o swej misji historycznej, nawet w pewnym sensie misji świętej danej mu przez Pana Boga”. Zdaniem Brzezińskiego **„wojna, jaką prowadzi Ameryka w Iraku, będzie się wydłużać, będzie jednoczyć świat islamski przeciwko Ameryce, zwłaszcza również ze względu na brak należytego zaangażowania w sprawę pokoju między Izraelem a Palestyńczykami i politykę wobec Iranu, która doprowadzi do tego, że Iran szybciej uzyska broń nuklearną lub Waszyngton, ewentualnie Izrael, zdecyduje się na atak zbrojny, który będzie niesamowicie groźny dla świata”**. Terrorysty nie rodzą się nimi, tylko są kształtowani przez określone warunki, przypomina Brzeziński. Polityka Ameryki sprzyja powstawaniu tych warunków. Odwołuje się on również do fundamentalnej pracy Arnolda Toynbeego, który ustalił, że ostateczną przyczyną upadku kolejnych imperiów był „suicidal statecraft”, a takie działania Brzeziński przypisuje właśnie ekipie Busha¹⁵. William Pfaff pisał o **nieporządku i niesprawiedliwości, którą polityka USA powoduje na Bliskim Wschodzie**. Nawet wielki zwolennik tej ekipy oraz aktywnego zaangażowania USA na Bliskim Wschodzie, czołowy komentator „The New York Timesa” Thomas Friedman, sceptycznie ocenił bilans tej polityki. „Jak dotąd, fala demokracji, którą po atakach 11 września ekipa prezydenta Busha pomogła wzniesić w krajach muzułmańskich, wyniosła do władzy islamskich fundamentalistów w Iraku, Palestynie i Iranie oraz utorowała Bractwu Muzułmańskiemu drogę do sukcesu w egipskim parlamencie. Jeśli nie odwrócimy tego trendu, to za kilka lat muzułmańscy duchowni będą u władzy we wszystkich krajach regionu, począwszy od Maroka aż po granice Indii” (obalając władzę na Bliskim Wschodzie, „trzeba jednocześnie uderzać w meczety”, radzi Friedman)¹⁶. Warto przywołać też głos z kraju najbliższego Ameryce, z Wielkiej Brytanii. Otóż były konserwatywny minister spraw zagranicznych Malcolm Rifkind otwarcie nazwał wojnę z Irakiem „biggest foreign policy disaster” od 1956 roku (inwazja Kanału Sueskiego)¹⁷.

Wcale nie lepiej wyglądają sukcesy wojskowe USA w Iraku. Wszyscy pamiętamy, iż w dniach inwazji na Irak Waszyngton publicznie twierdził (C. Powell), że „amerykańscy chłopcy wrócą do domu po kilku miesiącach”, bo przecież będą witani jak wyzwoliciele. Po ponad dwóch latach główny propagator wojny przeciwko Irakowi, nieustannie zapowiadający i odnotowujący sukcesy militarne oraz postępy na drodze do demokracji, oświadczył, że Amerykanie będą musieli pozost-

¹⁴ „Newsletter” wiedeńskiego Instytutu Nauk o Człowieku, nr 89, lato 2005.

¹⁵ Z. Brzezinski, *George W. Bush's suicidal statecraft*, „IHT” z 14 października 2005 r.; *USA: szkodliwy Bush, tchórzliwi Demokraci*, wywiad ze Zbigniewem Brzezińskim (przeprowadził Marcin Bosacki), „GW” z 17–18 grudnia 2005 r.

¹⁶ Th.L. Friedman, *Co ma ropa do demokracji*, „GW” z 4–5 lutego 2005 r.

¹⁷ „IHT” z 5 października 2005 r.

stać militarnie w Iraku jeszcze 12 lat. Ten sam Rumsfeld, który również epatował amerykańską publiczność stratami zadawanymi terrorystom przez dzielnych synów i córki Ameryki („Irak centralnym frontem walki z terroryzmem”, choć wiadomo, iż terroryzm był nieobecny w Iraku za Saddama), ogłosił w lutym 2006 roku, iż chociaż poczyniono postęp w wojnie z terrorem, „prawdopodobieństwo ataków terrorystycznych na Stany Zjednoczone jest teraz większe niż kiedykolwiek”. Przypomina to tezę głoszoną przed laty przez rządy komunistyczne, zgodnie z którą „w miarę postępów w budowie nowego ustroju zaostrza się walka klasowa”. Ujmując rzecz jednak bardziej poważnie, trzeba przyznać, że **te wypowiedzi świadczą niepokojąco o niekompetencji i niskiej wiarygodności obecnej administracji USA w sprawach strategiczno-wojskowych i muszą skłaniać sojuszników USA do ostrożności w udzielaniu poparcia Waszyngtonowi w jego planach „militarnej stabilizacji czy promocji demokracji” w różnych regionach świata.** Tym bardziej, że amerykańska polityka bezpieczeństwa nadal ulega postępującej militaryzacji. Budżet Pentagonu na 2006 rok ma wynieść ponad 440 mld USD, a wraz z wydatkami na wojny w Afganistanie i Iraku ponad 550 mld USD, to znaczy ponad połowę wydatków całego świata na cele wojskowe! Prezydent Bush w przytaczanym wyżej orędziu o stanie państwa mówi, że „o wycofaniu z Iraku zdecydują znajdujący się tam wojskowi, a nie politycy w Waszyngtonie”, co świadczy o nadrzędności czynnika wojskowego nad cywilno-politycznym w tej wojnie! Jest to w demokracjach zachodnich rzeczą zupełnie niesłychaną. Ostrożność sojuszników powinna być tym większa, że Amerykanie nie kryją, iż będą chcieli uzyskiwać od nich więcej pomocy w „wojnie z terrorem”. Wynika to z raportu podsumowującego przegląd obronny, czyli kierunki rozwoju sił zbrojnych (w USA taki przegląd robi się co cztery lata). D. Rumsfeld w swym kasandrycznym wystąpieniu na dorocznej konferencji bezpieczeństwa w Monachium (luty 2006 r.) apelował o „rozwój ekspedycyjnej kultury wśród zdolności wojskowych NATO”. Może to implikować niebezpieczeństwo wciągania sojuszników w wojny, które zechcą toczyć Amerykanie w zależności od tego, jaką misję Bóg wyznaczy ich prezydentowi lub też co wyniknie z danych ich wywiadu, o których wiadomo, że są wytwarzane na polityczne zamówienie bądź całkowicie ignorują informacje płynące od źródeł w terenie (CIA, jak ujawniono, ignorowała informacje pozyskiwane od irackich „źródeł osobowych”, które zaprzęcały prowadzeniu przez Saddama projektów badań i produkcji broni masowego rażenia). Prezydent Bush przyznał, że dane CIA były błędne, lecz mimo błędnych przesłanek nadal uważał, że wojna była usprawiedliwiona, doprowadziła bowiem do usunięcia Saddama; stwierdzić trzeba, że jest to porażająca logika. Problem jest tym poważniejszy, że **do amerykańskiego słownika polityczno-strategicznego trafił nowy termin – „długa wojna” (*a long war*).** Chodzi o wojnę z terrorem, którą mają toczyć kolejne pokolenia Amerykanów (i ich sojuszników). Ta długa wojna wymaga, zdaniem Waszyngtonu, jedności – podobnie jak w czasie zimnej wojny, przez co należy rozumieć oczekiwanie popierania i podążania za Ameryką¹⁸.

¹⁸ P. Gilbert, *Wojna będzie długa*, „Rz” z 4–5 lutego 2006 r.; *USA narażone na ataki terrorystów*, „Rz” z 3 lutego 2006 r.; P. Jendroszczyk, *Nowy pomysł na globalne NATO*, „Rz” z 6 lutego 2006 r.; M. Gadziński, *CIA nie uwierzyła swoim irackim agentom*, „GW” z 4 stycznia 2006 r.; P. Gilbert, *Błędne dane, trafna decyzja*,

Problem oczywiście tkwi w amerykańskiej misperpcji sytuacji na tle ideologicznym oraz w zmilitaryzowaniu przeciwdziałania, a także w braku możliwości wpływu na strategię Ameryki, nawet jeśli myli się ona tak głęboko, jak w sprawie wojny z Irakiem. Za komentarz do strategii USA w Iraku (i może także gdzie indziej) niech posłuży napis na jednym z transparentów niesionych w czasie waszyngtońskiej (24 września 2005 r.) demonstracji przeciwników tej wojny: **„Protestujemy, ponieważ polityka Busha tworzy wrogów Ameryki z taką szybkością, że nie nadążamy ich zabijać”**. I język ulicy nie różnił się w tym przypadku od języka poważnych komentarzy. Oto np. „International Herald Tribune” w artykule wstępnym przedrukowanym za „NYT”, a zatytułowanym *Trzy rzeczy o Iraku*, pisała, że sprawą żywotną jest uznanie trzech faktów: 1) ta wojna nie ma nic wspólnego z 11 września; 2) ta wojna nie uczyniła świata ani Ameryki bardziej bezpiecznym od terrorystów; 3) jeśli ta wojna przebiega zgodnie z planem, to znaczy, że ktoś powinien przemyśleć plan. Pismo domagało się informacji na temat tej wojny, administracja bowiem uczyniła te informacje tajnymi. „Amerykanom należy się informacja – wołał senator John McCain – ponieważ to oni płacą za ten konflikt” (i znowu pominięcie irackich ofiar i zniszczeń). **„Największą porażką polityki Busha – twierdził prof. Hurst Hannom z Tufts University – jest stworzenie niemal powszechnego wrażenia, że obecnie Stanom Zjednoczonym nie wolno ufać. Przełamanie tego wizerunku zajmie dużo czasu”**¹⁹.

Administracja Busha nie zamierzała niczego zmieniać. Żarliwie broniła racji wojny i sposobu jej prowadzenia i spychała oponentów do defensywy, zarzucając im brak patriotyzmu i pogarszanie sytuacji amerykańskich żołnierzy w Iraku, którzy powinni wiedzieć, że walczą o słuszną sprawę. A sytuacja bezpieczeństwa w Iraku nie była wprawdzie tak dramatyczna, jak mogłoby to wynikać z przekazu telewizyjnego, lecz nie wyglądała też optymistycznie. Zwłaszcza wojskowi byli bardzo sceptyczni, jeśli chodzi o perspektywy przekazania odpowiedzialności w tym kraju armii irackiej. Próby stabilizowania sytuacji postępowały w cieniu krwawych zamachów i różnych innych form oporu wobec amerykańskiej okupacji. Kolejne wybory, których frekwencja była pochodną wiary Irakijczyków, że w ten sposób pozbędą się Amerykanów, nie przybliżały bynajmniej tego kraju ku demokracji, choć istotnie poszerzały zakres samorządności w różnych lokalnych sprawach. **„Iracka demokracja, wzór dla całego Bliskiego Wschodu, już powstała – pisał korespondent „Gazety Wyborczej”. – Zajmuje całkiem spory kawałek śródmieścia Bagdadu. Nadzieje na to, że się szybko rozszerzy na cały kraj, są, niestety, coraz mniejsze”**²⁰. Sceny jak z *Czasu apokalipsy* mieszały się z dążeniem poszczególnych społeczności do normalizacji w nienormalnej sytuacji. Amerykanie nie żalowali zresztą pieniędzy, aby za nie pozyskiwać sojuszników wśród miejsco-

„Rz” z 15 grudnia 2005 r.; W. Pfaff, *A 'long war' designed to perpetuate itself*, „IHT” z 11–12 lutego 2005 r. (jak zauważa autor, liczba amerykańskich ofiar międzynarodowego terroryzmu od późnych lat 60., łącznie z ofiarami 11 września, jest mniej więcej taka sama jak liczba tych, którzy zginęli od pioruna lub poważnych alergii wywołanych w reakcji na spożywanie orzeszków ziemnych). „Radykalne zagrożenie dla Stanów Zjednoczonych znajduje się w domu”, konkluduje Pfaff, mając na myśli administrację G.W. Busha.

¹⁹ R. Cohen, *Rice admits U.S. errors; what about corrections?*, „IHT” z 10–11 grudnia 2005 r.

²⁰ M. Zawadzki, *Dwa irackie światy*, „GW” z 27–28 sierpnia 2005 r.

wych przywódców, a przynajmniej osłabiać ich niechęć. W Waszyngtonie, jak się okazało, powstawały też liczne artykuły publikowane w prasie irackiej, rozpisujące się o postępach stabilizacji i demokracji oraz rozwoju gospodarczym. W Ameryce szydzono z lingwistycznych sztuczek podejmowanych przez niezmordowanego na tym polu Rumsfelda, dzięki którym podejrzane słowo „powstańcy” zostało w języku administracji USA wyparte przez takie określenie wrogów nowego reżimu, jak „combination of rejectionists, Saddamists and terrorists” (G.W. Bush w czasie jednej z konferencji prasowych). Te przypominające inne czasy i inne mocarstwo praktyki nie powinny przesłaniać prawdziwego obrazu sytuacji, która się jednak uspokajała, choć nie dawała żadnych gwarancji ostatecznej stabilności. Dotyczyło to zarówno zdolności różnych grup etnicznych i religijnych do współpracy, jak i eliminacji aktywności terrorystycznej i powstańczej. Amerykańskim sukcesom militarnym nie towarzyszyła – zdaniem Wesleya Clarka – odpowiednia strategia polityczna, która mogłaby przekonać Irakijczyków, że Amerykanie są tam nie po to, aby uciskać i prześladować, lecz chronić i pomagać²¹. Nie ułatwiali tego zadania sami żołnierze USA, którzy w Iraku nie tylko naruszali prawo międzynarodowe i miejscowe обыczaje, ale dopuszczali się niekiedy rzeczy haniebnych (np. skandal z handlowaniem zdjęciami zabitych Irakijczyków czy zdjęciami opatrzonymi poniżającymi podpisami w zamian za dostęp do internetowych stron pornograficznych).

Rozwój sytuacji na froncie irackim miał naturalnie swoje odbicie w tym, co działo się w samych Stanach Zjednoczonych, to znaczy ogniskował dyskurs polityczny w tym kraju i zużywał całą jego energię na krytykę i obronę tej wojny w każdym niemal jej aspekcie. Dotyczyło to m.in. takich spraw jak podsłuchiwanie obywateli USA poza procedurami przewidzianymi nawet dla sytuacji nadzwyczajnych, kłamstwa doradców Busha, zapobieżenie budowie irańskiej bomby nuklearnej (najlepiej przez zbrojny atak na Iran – R. Perle), stare operacje CIA, w tym potajemne wprowadzenie aktywisty islamskiego z Włoch przez agentów CIA oraz sprawy domniemanych więzień CIA w Europie, kalendarza i strategii wyjścia z Iraku, uciszania krytyków wojny, transformacji wolnego kraju – USA – w kraj zwany „Freedom Bunker”, nieprzygotowania USA do stawienia czoła huraganowi i jego skutkom („Katrina”), stale rosnących kosztów tej wojny (nawet do dwóch bilionów dolarów)²². Pojawiał się także w tej dyskusji wątek łamania prawa wojennego przez wojska USA, haniebnego traktowania jeńców i stosowania tortur, „prawa” administracji do uprawiania propagandy deformującej obraz tej wojny i prawa do ewentualnego zniszczenia arabskich „ośrodków propagandy” (np. stacji Al Dżazira), a także – co jest bardzo interesujące – zmian w mentalności amerykańskich żołnierzy, którym

²¹ W.K. Clark, *The next offensive*, „IHT” z 7 grudnia 2005 r.; R. Cohen, *The war within: Iraq in number and faces*, „IHT” z 24–25 września 2005 r. oraz *Insecurity, yes, but Iraq gets a passing grade*, „IHT” z 28–29 stycznia 2006 r.; J. Glanz, *Living in the shadow of American occupation*, „IHT” z 4 lipca 2005 r.; D. Filkins, *Iraq insurgents gathering strength*, „IHT” z 25 lipca 2005 r.; D.E. Sanger, *U.S. tones down hopes for Iraq*, „IHT” z 18 października 2005 r.; E. Schmitt, *U.S. leader in Iraq voices his concern*, „The New York Times” z 6 stycznia 2005 r.; J. Burns, *The nightmare of civil war is looming over Iraq*, „IHT” z 26 lipca 2005 r.; M. Rybarczyk, *Czas apokalipsy w Iraku*, „Przekrój” z 1 grudnia 2005 r.; W. Jagielski, *Fatalny strzał w terrorystę*, „GW” z 16 stycznia 2006 r.

²² J. Bielecki, *Iracki worek bez dna*, „Rz” z 11 stycznia 2006 r.

zaczyna się podobać bezkarne zabijanie, choć jak chcieli niektórzy propagandyści Busha, było to zabijanie w imię wolności (np. eliminacja w ten sposób skorumpowanych urzędników irackich). Wojskowi entuzjaści „generacji po transformacji” pisali: „dzięki tej służbie dokonujemy transformacji Iraku. Po powrocie do domu dokonamy transformacji oblicza Ameryki” (ciarki przechodzą przy takiej lekturze). Byli jednak i tacy eksperci, którzy uważali, iż poprzez wojnę w Iraku „amerykańscy chłopcy” stają się „żołnierzami nowego typu i odrywają od swej dotychczasowej społecznej roli i mitu”²³.

Równolegle toczyła się ciekawa dyskusja na temat terroryzmu, jego źródeł, natury zagrożenia, jakie ze sobą niesie, oraz sposobów przeciwdziałania. W dalszym ciągu opinie na temat jego korzeni rozciągały się od wskazywania na społeczne i kulturowe jego uwarunkowania, generowanie terroryzmu przez politykę zagraniczną USA (Brzeziński, Pfaff), aż po przekonanie, że jest on fanatycznym, irracjonalnym wrogiem (przypominającym faszyzm), jeśli nie całego rodzaju ludzkiego, to przynajmniej Zachodu, czyli cywilizacji wolnych ludzi. W tym drugim przypadku celem terrorystów jest utworzenie globalnego kalifatu, globalnej wspólnoty wiernych (O. Roy). Górze zdawał się też brać pesymistyczny pogląd, że wprawdzie należy z całą determinacją zwalczać terroryzm, łącznie z możliwością użycia broni nuklearnej przeciwko krajom, które udzielają schronienia terrorystom (!), zgodnie z ogłoszoną w Waszyngtonie (15 marca 2005 r.) przez Połączony Sztab Sił Zbrojnych Doktryną Połączonych Operacji Nuklearnych (*Doctrine for Joint Nuclear Operations*). Nie należy jednak oczekiwać szybkiego zwycięstwa w tej walce. Walter Laqueur, bez wątplenia jeden z najlepszych znawców zjawiska, twierdzi, że „terroryzm przetrwa. Nie zawsze i nie wszędzie będzie równie silny, może nawet oszczędzi pewne części świata. Lecz nie pokonamy go. Będziemy jedynie toczyć trudne zmagania – czasem skuteczne, czasem nie”²⁴.

Polityka obecnej administracji nie mogła nie wpływać na stan i atmosferę stosunków transatlantyckich. Po pokazowym pojednaniu, do którego doszło w pierwszych tygodniach po rozpoczęciu drugiej kadencji prezydenta USA (m.in. szczyt NATO w Brukseli), nastąpił powrót do wcześniejszej stagnacji. Od strony biurokratyczno-

²³ A. Dworkin, *The Wright to broadcast propaganda* oraz M. Socolow, *When government and the press go to war*, „IHT” z 15 grudnia 2005 r.; J. Gerth, *U.S. on the attack in information war*, „IHT” z 12 grudnia 2005 r.; P. Gillert, *Podsluchujemy i nadal będziemy*, „Rz” z 19 grudnia 2005 r.; M. Gadziński, *Najgorszy tydzień Busha*, „GW” z 29–30 października 2005 r.; idem, *Co wynika z gier wojennych*, „GW” z 13 października 2005 r. (o scenariuszach ewentualnego ataku na Iran); J. Teutsch, *Time to pull out. And not just from Iraq*, „IHT” z 16–17 lipca 2005 r.; W. Safire, *Prosecuting the U.S. press*, „IHT” z 30 czerwca 2005 r.; M. Kazimierczyk, *Wytrwać w Iraku*, „GW” z 29 czerwca 2005 r.; J. Kerry, *How to bail out Iraq*, „IHT” z 29 czerwca 2005 r.; P. Milewski, *Ameryka po Katrina* oraz R. Korzycki, *Ludzie z umarłego miasta*, „TP” z 11 września 2005 r.; R.B. Quinn, *A generation transformed*, „IHT” z 5 sierpnia 2005 r.; D.M. Kennedy, *Bring back the citizen-soldier*, „IHT” z 26 lipca 2005 r.

²⁴ W. Laqueur, *Nie pokonamy terroryzmu*, „GW” z 16–17 lipca 2005 r.; *Wojna z cieniem*, z Peterem Brooksem rozmawia Piotr Gilbert, „Rz” z 28–29 stycznia 2006 r.; O. Roy, *The ideology of terror*, „IHT2” z 23–24 lipca 2005 r.; W. Pfaff, *Traditional culture strikes back*, „IHT” z 21 lipca 2005 r.; *The roots of Islamic terrorism. Fundamentalism and fascism*, „IHT” z 28 lipca 2005 r.; *Wojna nie do wygrania*, wywiad z Z. Baumanem (przeprowadził Ł. Gałęcki), „Rz” z 8–9 października 2005 r.; zob. także interesujący *Briefing Paper* opublikowany w lipcu 2005 r. przez Chatham House, *Security, Terrorism and the UK*; F.G. Gause III, *Can democracy stop terrorism?*, „Foreign Affairs”, wrzesień–październik 2005.

-wojskowej organizacja działała podobnie jak dotychczas, jednak nie wzbudzała niczyich pozytywnych emocji. W Waszyngtonie pojawiały się oznaki nieco lepszego stosunku do Sojuszu, co wynikało z lekcji afgańsko-irackiej, lecz w Europie zdawano sobie sprawę z tego, że NATO jest dla administracji Busha interesujące o tyle, o ile da się wykorzystać jako instrument jej globalnej strategii. Ponieważ nie było co do tego zgody w samym Sojuszu, Amerykanie uzyskiwali podobny efekt dzięki poleganiu na stosunkach dwustronnych z tymi państwami europejskimi, które były gorliwe w reagowaniu na potrzeby Waszyngtonu, oraz dzięki traktowaniu organizacji jako „skrzynki z narzędziami”, to znaczy korzystaniu z pewnych wybranych jej zasobów logistyczno-wojskowych. W sposób oczywisty musiało to rzutować na problem tożsamości Sojuszu. Waszyngton stawiał sprawę otwarcie – **warunkiem zachowania witalności Sojuszu jest rozwój jego funkcji jako globalnej „sily porządkowej” i to Amerykanie będą określać, kiedy, gdzie i w jaki sposób NATO będzie zaprowadzać porządek (apel Rumsfelda o rozwój kultury ekspedycyjnej NATO).** W tym celu sojusznicy powinni zwiększyć wydatki na zbrojenia; USA wydają w ujęciu procentowym ponad dwukrotnie więcej na armię niż Europejczycy (3,7% i 1,8% budżetu). Jednocześnie angażowanie NATO w takie sytuacje jak pomoc przy odbudowie po trzęsieniu ziemi w Pakistanie czy przejściu huraganu „Katrina” w USA świadczy o tym, że Sojusz poszukuje „zajęć”, aby uzasadnić swoje istnienie. W sumie powstaje obraz **sojuszu bez tożsamości**, lekko zagubionego w nowych warunkach, zdanego trochę na łaskę i niełaskę (humory) swego mocarstwa przywódczego. Większość państw członkowskich trzyma się organizacji z przyzwyczajenia, inni „wiszą u klamki” gospodarza, który niekiedy dość niefrasobliwie traktuje swoich popleczników. Świadczy o tym **afery domniemanych więzień CIA w Europie.** Waszyngton długo nie reagował na przecieki prasowe, będące przejawem jakichś wewnętrznych rozgrywek w służbach wywiadowczych USA, przez co wystawiał na szwank bezpieczeństwo i wiarygodność państw sojusznicznych, mogły one bowiem uchodzić za kraje udzielające „gościny” tym służbom, które wsławiły się naruszaniem międzynarodowego prawa humanitarnego i praw człowieka (kraje te mogły stać się przedmiotem ataków terrorystycznych). Dopiero po długiej zwłoce i krętańskich wypowiedziach (ani tak, ani nie) Condoleezza Rice oświadczyła (także niezbyt wiarygodnie) na grudniowym spotkaniu NATO, że takich więzień nie było. Nieszczęsna afera z tymi więzieniami pokazała, że trzeba patrzeć na ręce sojusznikowi, gdyż dla swoich partykularnych interesów gotów jest on lekceważyć interesy bezpieczeństwa i dobre imię tych, którzy udzielają mu poparcia nawet w najbardziej niewygodnych sytuacjach. Te problemy funkcjonowania NATO wydają się jednak niczym w obliczu cywilizacyjnego rozchodzenia się Ameryki i Europy. Zdaniem badaczy jest to najbardziej widoczne na przykładzie stosunku Ameryki i Europy (jej większej części) do religii. Pytanie bardziej fundamentalne w tym kontekście brzmi: czy jeśli zniknie wspólnota wartości, dla utrzymania spójności i niezawodności sojuszu wystarczy współzależność i wspólnota

interesów ekonomicznych²⁵. W tym samym nurcie znajduje się pogłębiające się w Ameryce postrzeganie Europy jako rywala, chociaż rywala „schodzącego na psy” (*going to the dogs*). „Europa jest widziana jako dekadenska, pławiąca się w samozadowoleniu i lenistwie, i jako taka staje się dla USA coraz mniej pociągająca. A obecne samobiczowanie się Europy jedynie potwierdza u Amerykanów ich opinię na jej temat”. Głównym powodem tego „lekceważenia i pogardy” jest jednak, jak się uważa, to, że Europa okazała się sojusznikiem, któremu nie można ufać w godzinie próby, jaką dla Ameryki stała się wojna z terrorem. Amerykanie zaś uważają, że jest to dla Europy „czas spłaty długu” za I i II wojnę światową²⁶. Ten stan nastrojów i takie oceny, jeśli prawdziwe i powszechne, istotnie nie zapowiadają powrotu do bliskich, opartych na wzajemnym szacunku i zaufaniu stosunków między Ameryką a Europą (jej większą częścią).

EUROPA – ROK NIEDOLI

Rok 2005 źle się zapisze w najnowszej historii Europy. Będzie tak za sprawą upadku traktatu konstytucyjnego po jego odrzuceniu w referendum we Francji i w Holandii. Oceny tego wydarzenia i jego konsekwencji były w przeważającej mierze negatywne. Fiasko, impas, stagnacja, regres, zagrożenie dla procesu integracji europejskiej – to były najczęściej używane określenia. Gwoli sprawiedliwości trzeba powiedzieć, że były także wcale nieodosobnione głosy mówiące, że właściwie nic się nie stało, że sprawy w Unii toczą się bez specjalnych zakłóceń naprzód, co dowodzi, iż UE może się obyć bez traktatu, że jego upadek jest bez znaczenia, bo i tak nie był on potrzebny, a właściwie był nawet szkodliwy, i dzięki jego odrzuceniu Unia odzyska wigor oraz społeczną akceptację. Niezależnie od tego, które stanowisko jest słuszne, odrzucenie traktatu i reakcje na ten fakt pokazały w ostrym świetle obecne schorzenia UE oraz lęki związane z kierunkiem jej rozwoju. Na ironię musi zresztą zakrawać fakt, że istotne powody, dla których oba społeczeństwa powiedziały „nie” traktatowi, nie miały bezpośrednich związków z jego treścią ani ze sposobem, w jaki powstał. Na zarzut, iż traktat został opracowany poza społeczeństwami czy opinią publiczną (słynny „deficyt demokracji” w UE), trzeba z naciskiem odpowiedzieć, że traktat konstytucyjny powstał w toku najbardziej demokratycznej procedury w historii negocjacji tego rodzaju, a debaty przedreferendalne we Francji i Holandii były wyjątkowo szerokie, angażujące różne kręgi społeczne i nigdy wcześniej rządy zabiegające o ratyfikację nie prowadziły tak wyczerpującej kampanii wyjaśniającej. Z przymrużeniem oka można powiedzieć, że jedynym poważnym powodem dla odrzucenia traktatu była jego strona formalna – kiepska redakcja, nadmierna szczegółowość zapisów, zawikłanie, nieprzejrzystość, o grubości

²⁵ Wystraszeni oficerowie CIA, wywiad z Larrym Johnsonem, byłym funkcjonariuszem CIA i Departamentu Stanu (rozmawiał M. Gadziński), „GW” z 10–11 grudnia 2005 r.; M. Joyce, *NATO's incremental transformation*, „IHT” z 8–9 października 2005 r.; R. Dale, *Behind the smiles, trans-atlantic bite*, „IHT” z 29 grudnia 2005 r.; W. Pfaff, *NATO's future on the line*, „IHT” z 12 stycznia 2006 r.; J. Vinocur, *A question of nerve close to NATO's heart*, „IHT” z 17 stycznia 2006 r.; S.R. Sloan, *How does religion affect relations between America and Europe?*, „EuroFuture”, zima 2005.

²⁶ P. van Ham, *How a relationship goes sour*, „IHT” z 7 lutego 2005 r.

nie wspominając (cały szereg postanowień z pewnością nie wchodził w zakres materii „konstytucyjnej”). O pozatraktatowych przyczynach zwycięstwa „nie” pisano wiele, i tutaj szkoda na to miejsca. Przynajmniej jedna przyczyna jest jednak ważna i nie powinna być potraktowana powierzchownie i z pozycji oświeconej elity, jak z reguły się to dzieje. Był nią lęk przed dalszym rozszerzeniem Unii Europejskiej. Ten powód jest nadzwyczajnie uprawniony w ramach takiej formy współpracy międzynarodowej jak Unia Europejska. **Unia jest wspólnotą, co oznacza, że jest nie tylko związkiem państw – jak NATO czy ONZ – ale także związkiem społeczeństw i obywateli.** Unia otwiera je na siebie (swoboda przemieszczania) i dekretuje zasadę ogromnej pomocy biedniejszym przez bogatszych (z pieniędzy podatnika). **Elementarny wymóg demokracji polega na tym, że społeczeństwa (obywatele) muszą mieć prawo decydowania o tym, kogo chcą mieć w swoich granicach** (kogo chcą wpuścić do swojego domu) oraz komu przekazywać niemalą część swoich podatków. Ignoruje się tutaj tak oczywistą prawdę, że każde społeczeństwo, w zależności do splotu historyczno-kulturowych uwarunkowań, ma granice zdolności do absorpcji przybyszy z zewnątrz. Próba odebrania obywatelom i społeczeństwom Unii prawa do określania tej granicy przez tych, którzy „wiedzą lepiej”, kogo i dlaczego przyjmować, będzie nieuchronnie wywoływać społeczne reakcje, które „oświeceni” najchętniej określają populizmem czy głosem ulicy. Reakcją na autyzm, arogancję i poczucie wyższości elit istotnie bywa populizm, lecz wtedy należy leczyć jego źródła, a nie wybrzydzać na jego przejawy. Szczególnym absurdem stał się już właściwie zwyczaj europejskich intelektualistów chętnie określających mianem populizmu wszystkie objawy niezadowolenia lub lęku w obliczu procesów globalizacji czy nawet dalszego rozszerzania UE, a jeśli łączyły się z pierwiastkiem religijnym – porównujących je nawet do faszyzmu. Przejawem tej niepokojącej tendencji jest próba wrzucenia do jednego worka z napisem „faszyzm” wyborów prezydenckich w Iranie i upadku referendum we Francji i Holandii. W opinii wybitnego skądinąd francuskiego pisarza politycznego Pierre’a Hassnera ideologia populizmu przybiera różne polityczne kolory: „Może przywdziewać religijne szaty – nieważne, czy islamskie, czy protestanckie, byle była fundamentalistyczna lub manichejska. Może występować przeciwko złu w imię Boga, ludu lub narodu. Miewa bardzo różne korzenie, uzasadnienie i skutki, lecz – bez względu na kolor i kostium – przywodzi na myśl to, co w innych czasach nazywało się faszyzmem”²⁷. Doktrynerstwo i intelektualna poprawność pozbawiała niekiedy Europejczyków szansy rzetelnej analizy problemów nękających Europę i znajdowania właściwych recept na realne schorzenia i zagrożenia.

Co się tyczy konsekwencji odrzucenia traktatu konstytucyjnego, to należy w pełni zgodzić się z Peterem Sutherlandem, który napisał, że „**Od katastrofalnego referendum we Francji Unia Europejska została pozbawiona kierunku (*directionless*) oraz politycznie uszkodzona w fundamentalnym sensie**”. Szanse dla Europy były komisarz KE, a zarazem obecny europejski przewodniczący Komisji Trójstronnej widzi w przełamaniu dominacji podejścia międzyrządowego (grozi

²⁷ P. Hassner, *Polityka frustracji*, „Rz” z 5 sierpnia 2005 r.; zob. odmienne stanowisko w: R. Cohen, *Europe’s troubles push even the left rightward*, „IHT” z 19 października 2005 r.

ona „powrotem do zgubnych metod ubiegłych stuleci”). UE – uważa Sutherland – „potrzebuje pewnej wielkoduszności od swych członków w połączeniu z pewną wizją przyszłości. Okopanie się na swych pozycjach w przeświadczeniu konieczności odnoszenia zwycięstw nad innymi państwami członkowskimi jest destrukcyjne dla całego unijnego projektu”²⁸. Niektórzy źródła obecnych problemów Unii sprowadzali nie tyle do jej porażek, ile do jej sukcesów. Dla Ulricha Becka i Anthony’ego Giddensa wyjściem z obecnej sytuacji jest zdecydowane potwierdzenie przez eurozwolenników dotychczasowego kursu integracji w formie pozytywnej odpowiedzi na trzy pytania: „Czy chcemy Europy walczącej w świecie o swoje wartości? Czy chcemy Europy silnej gospodarczo? Czy chcemy w Europie sprawiedliwości społecznej?”²⁹. Rzeczy nie wyglądają niestety tak prosto. Odpowiedzi twierdzącej na te pytania udzieliliby wszakże zapewne i eurosceptycy. Znacznie trudniejszym problemem-pyaniem pozostaje „jak” to wszystko osiągnąć. To na poziomie odpowiedzi na takie pytanie tkwią źródła problemów dzisiejszej Unii i szerzej całej bez mała Europy. Wydaje się, i być może tak jest istotnie, że większości Europejczyków chodzi o to samo. Wszyscy mają jeszcze w pamięci wspaniałe przemówienie premiera Tony’ego Blaira w Europarlamencie na otwarciu brytyjskiej prezydencji (23 czerwca 2005 r.). W porywający sposób mówił wtedy o Unii jako politycznym projekcie, o jedności gospodarki i polityki w tym procesie, o konieczności modernizacji Europy, o jej konkurencyjności, skuteczności jej polityki zagranicznej, bezpieczeństwa i obrony, o silnej Europie jako aktywnym „graczu” na scenie międzynarodowej (i o tym, że to narody i ludzie mają rację, a nie politycy, którzy powinni ich słuchać, lecz nie zawsze to czynią!). Premier Francji – tradycyjnej angielskiej antagonistki – proponuje wizję niewiele odmienną od tej, którą przedstawił Blair. Dla rewitalizacji Europy należy podjąć pięć projektów, twierdzi D. de Villepin: lepsze zarządzanie gospodarcze w krajach strefy euro, umocnienie rolnictwa przez modernizację CAP, politykę innowacji i badań naukowych, rozszerzenie współpracy w sferze bezpieczeństwa i obronności, umocnienie demokracji³⁰. Podobna retoryka, a jak różna polityka! Przy czym Blair zakończył brytyjskie przewodnictwo na wygłoszeniu przemówienia (czyli zanim jeszcze Londyn je objął), a de Villepin nakreślił swą wizję po fiasku francuskiego referendum, co daje wrażenie wylewania krokodylich łez. Rezultat znamy – impas.

Przywódcy zebrani 18 czerwca 2005 r. na szczycie w Brukseli po porażce dwóch referendum ogłosili oficjalnie „okres refleksji” (*period of reflection*), która powinna nastąpić we wszystkich krajach. U progu 2006 roku mówiono, że owszem, przerwa była, ale refleksji nie. W sprawie przyszłości samego traktatu konstytucyjnego scenariusze były powszechnie znane: a) powrót do procesu ratyfikacyjnego (możliwość wątpliwa, ale zupełnie nie wykluczana); b) wybranie z traktatu elementów najmniej kontrowersyjnych i poddanie takiego traktatu „składaka” pod normalny proces akceptacji (bez referendum); c) prace nad zupełnie nowym traktatem, opartym na nowych założeniach wyjściowych. Jakiś nowy fundament traktatowy dla Unii musiał

²⁸ P. Sutherland, *A direction for Europe*, „IHT” z 21 października 2005 r.

²⁹ U. Beck i A. Giddens, *Europa ma przyszłość*, „GW” z 7 października 2005 r.

³⁰ D. de Villepin, *Nowa Europa polityczna*, „GW” z 29 czerwca 2005 r.

powstać, nawet jeśli tylko dlatego, że Traktat Nicejski został uzgodniony dla Unii nieprzekraczającej liczby 27 państw. Notabene, nic nie wskazywało na to, aby kolejny traktat rewizyjny mógł być prostą „nowelizacją” nicejskiego (także w zakresie systemu ważenia głosów), bo tego nie chce zdecydowana większość państw członkowskich. Na szczęście, nie mała część postanowień traktatu konstytucyjnego mogła być wdrażana w życie na podstawie pozatraktatowej i z tego państwa członkowskie były zdecydowane korzystać³¹.

Upadek traktatu konstytucyjnego i atmosfera, w której do tego doszło, były potężnym ciosem w ambicje międzynarodowe Unii Europejskiej. Przypomnijmy, iż w ciągu kilku poprzednich lat w Europie przetoczyła się wielka dyskusja na temat UE jako „gracza” na scenie międzynarodowej. Byliśmy świadkami wielu wystąpień idących w tym kierunku. Powstało wiele analiz i poważnych opracowań poświęconych tożsamości i podmiotowości Unii Europejskiej (jako instytucjonalnego wcielenia całej Europy). Były one zasadniczo poprawne w tym sensie, że obrona jej interesów i wartości jej cywilizacji w istniejącym porządku międzynarodowym wymaga pewnej formy jedności, zdolności mówienia jednym głosem oraz wyrafinowanego, a zarazem „przekonywającego” instrumentarium (zasobów i środków) oddziaływania na jej międzynarodowe otoczenie. Kulminacją tej tendencji było przyjęcie Europejskiej Strategii Bezpieczeństwa na szczycie UE w grudniu 2003 r. oraz istotne postanowienia w traktacie konstytucyjnym dotyczące m.in. wspólnej obrony i utworzenia stanowiska ministra spraw zagranicznych UE. Tymczasem sprawa traktatu konstytucyjnego, ze względu na cały szereg niezręczności związanych z jego formą (nazwa!), treścią oraz procedurą akceptacji, a także wewnętrzne problemy części państw UE, stała się źródłem problemów Unii, a przede wszystkim czynnikiem osłabiania jej międzynarodowej wiarygodności. Dla przeciwników międzynarodowych ambicji UE upadek traktatu był prawdziwym darem z niebios. Nie tylko potwierdzał ich eurosceptycyzm, ale był również argumentem przeciwko międzynarodowej samodzielności Unii i na rzecz jej podrzędnej roli w stosunku do USA. Było to o tyle paradoksalne, że akurat ten wymiar Unii jako podmiotu politycznego jednoczącego Europę miał największe poparcie społeczeństw państw członkowskich (łącznie z akceptacją dla stanowiska ministra spraw zagranicznych UE). Problem był tym trudniejszy, że **w Europie nastal czas słabych przywódców.** Sytuacja wewnętrzna w poszczególnych krajach nie tylko nie sprzyjała selekcji i kreowaniu przywódczych osobowości, lecz także prowadziła do ich szybkiego „zużycia”; co jest generalnie cechą demokracji, ale w obecnych okolicznościach to zjawisko się nasiliło. Rzecz nie polega naturalnie na nieustannej ich wymianie (kadencyjność), ale przede wszystkim na „mediokryzacji” (uśrednianiu w dół) obyczajów i standardów demokratycznej polityki w Europie. Jak trafnie pisał Simon Serfaty: „dzisiaj ambicje biorą górę nad przekonaniem, a doraźne rywalizacje nie dają szans długofalowym wizjom”. Symptomatyczne w tym względzie było fiasko nadziei, jakie wzbudziło w Europie brytyjskie przewodnictwo w UE (druga połowa

³¹ Zob. szerzej J. Barcz, *Prawno-polityczne ramy debaty nad przyszłością Unii Europejskiej*, „Sprawy Międzynarodowe” 2006, nr 1 i M. Krzysztofowicz z zespołem, *Przyszłość Unii Europejskiej po odrzuceniu Traktatu Konstytucyjnego – dwa kierunki*, „Polski Przegląd Dyplomatyczny” 2005, nr 6.

2005 r.). Tytuły europejskiej prasy unisono wskazywały na Tony’ego Blaira jako lidera Europy, a model brytyjski, który czynił „Brytanię wielką”, miał być inspiracją dla wielkości Europy. Zaskakująca dla wielu słabość brytyjskiego przywództwa (najlepsze od niepamiętnych czasów) i ograniczenie się brytyjskiego premiera do popisów retorycznych były potwierdzeniem tego ogólnego trendu. Szczególnie przykrym doświadczeniem dla polityków i komentatorów zapatrzonych w Londyn było zachowanie Anglików w procesie negocjacji nad unijną perspektywą finansową, w toku których wykazali się zupełnie nadzwyczajnym brakiem zrozumienia dla tego, co było do tej pory jednym z fundamentów europejskiej konstrukcji, to znaczy dla zasady solidarności. Było to tym bardziej dotkliwie, że owa niechęć do solidarności była wymierzona przede wszystkim przeciwko nowym członkom UE, a wśród nich krajom o najniższym poziomie dochodu, czyli przeciwko Polsce. Polska pomoc dla anglosaskiej wyprawy do Iraku nie miała tu żadnego znaczenia. Taka postawa Londynu była naturalnie zaskoczeniem jedynie dla tych, którzy wykazywali historyczny analfabetyzm w odniesieniu do tradycji brytyjskiej polityki zagranicznej. Okazało się, że było ich najwięcej w Polsce, choć jak rzadko który inny kraj europejski powinna ona być świadoma urody imperialnej i postimperialnej polityki Albionu³².

Będąca od kilku lat przedmiotem słusznych narzekania i ostrzeżeń gospodarcza witalność i konkurencyjność państw Unii Europejskiej zaczyna się poprawiać. Mimo fiaska Strategii Lizbońskiej sytuacja Europy nie jest tak jednolicie zła, jak zwykło się ją przedstawiać w ostatnim czasie, choć nie można niestety jeszcze mówić o przełomie. Mimo społecznych oporów ruszyły reformy zmniejszające regulacyjną funkcję państwa w gospodarce w dwóch głównych państwach kontynentu – Niemczech i Francji. Zupełnie dobrze wygląda europejska wydajność pracy liczona w wartości wytworzonej na godzinę pracy. Kilka europejskich krajów (w tym Francja) znacząco wyprzedza Stany Zjednoczone. Wartość wytworzonych w ciągu godziny towarów wynosi np. we Francji 54, w USA 48, w Niemczech 47,5, w Anglii 43 USD (w Polsce – 20). Wielkim impulsem dla wzrostu gospodarczego Europy i jej konkurencyjności jest rozszerzenie. Nadchodzący boom inwestycyjny w nowych krajach dzięki unijnym funduszom może stać się kołem zamachowym dla całej UE. Inwestycje w infrastrukturę i modernizacja gospodarek tych krajów będzie z jednej strony konkurencyjnym bodźcem dla starych krajów Unii, ale z drugiej będzie oznaczać także korzyści związane z tańszymi kosztami produkcji i dynamizmem dla całej Europy. Warunkiem jest naturalnie kontynuacja reform strukturalnych. Wskaźniki gospodarcze są pod tym względem jednoznaczne – kto się reformuje, ten osiąga sukces. Wzrost popularności i dojście do władzy formacji etatystycznych czy wręcz populistycznych domagających się rozbudowy państwa opiekuńczego może jednak ten proces zahamować. Nie można nie zauważyć, że dla wielu partii politycznych i grup społecznych w Europie wrogiem numer jeden stał się liberalizm, nie tylko polityczno-obyczajowy, ale również ekonomiczny (rynkowy). Jak jednak słusznie podkreśla pos. Janusz Lewandowski, mimo różnych

³² S. Serfaty, *A Europe of weak leaders*, „IHT” z 1–2 października 2005 r.; M. Ostrowski, A. Szostkiewicz, *Dlaczego Brytania jest wielka?*, „Polityka” z 16 lipca 2005 r.

krytyk europejski projekt integracyjny (UE) „pozostaje niedoścignionym wzorcem dla innych kontynentów” i nadal działa. „Brakuje natomiast dawnego ducha i motywacji, powodując, że mamy do czynienia z «zimną» integracją, a nie «ciepłą» wspólnotą. Ochłodzenie to nie wynika jednak z natury tego przedsięwzięcia, ale z wydumanych strachów i fałszywych «prawd obiegowych», wypełniających europejską przestrzeń na progu XXI wieku”³³. Jedynym prawdziwym i głębokim zagrożeniem, w obliczu którego stoi Europa, jest postępujący regres demograficzny. Jeśli zarysowane w tej dziedzinie trendy nie zostaną zatrzymane i odwrócone, problemy ekonomicznej witalności, obrony europejskich wartości czy sprawa politycznej roli Europy w świecie przestaną mieć za kilkadziesiąt lat jakiegokolwiek znaczenie. Europa zniknie jako odrębna tożsamość cywilizacyjno-polityczna. **Jest zdumiewające, jak obecne analizy „demograficznego samobójstwa” Europy odnoszą się jedynie do aspektu ekonomicznego problemu (kryzys finansów publicznych, stagnacja gospodarcza), mimo że ma on najzupełniej drugorzędne znaczenie wobec wymiaru cywilizacyjno-politycznego nadciągającej katastrofy.** Biedny i słabo rozwinięty świat islamu ma przed sobą pewną przyszłość, podczas gdy wyrafinowana kulturowo i technologicznie Europa może tylko z tego jednego względu – deficytu Europejczyków – stać się skansenem zamieszkanym przez ludy pozaeuropejskie (skansenem *sensu stricto* będą swoiste bantustany zamieszkałe przez mniejszościową ludność pochodzenia europejskiego, kultywującą dziwne dla przybyszów z zewnątrz obyczaje zwane „prawami człowieka i demokracją”). Niemalą rolę w tych regresywnych procesach demograficznych zaczynają odgrywać deformacje w rozwoju praw człowieka, wśród których znajduje się nurt forsujący legalizację zjawisk obyczajowych wprost sprzyjający umacnianiu tych procesów (najnowszym orężem tego nurtu jest przewrotna koncepcja „homofobii”). Samym zaś deformacjom sprzyjają takie organy europejskie jak Rada Europy czy Parlament Europejski, odrywające coraz chętniej współczesne prawa człowieka od ich pierwotnych korzeni, czyli idei praw naturalnych.

To również w tej perspektywie należy widzieć wyzwanie wiążące się z decyzją UE o podjęciu z Turcją rozmów w sprawie jej członkostwa w Unii. Ewentualne członkostwo Turcji w UE postrzega się przede wszystkim właśnie w kategoriach ekonomicznych – pojawienia się Turków na europejskim rynku pracy. Młodzi Turcy mają rzekomo zapracować na ubezpieczenia społeczne starzejących się społeczeństw europejskich; one same nie chcą dla siebie tego uczynić. Chcą mieć dostatnią starość, lecz nie chcą umierać w otoczeniu swych dzieci i wnuków mogących także zapewnić przetrwanie europejskiej cywilizacji; wystarczy im, jeśli w szpitalu lub domu starców zajmie się nimi sanitariusz z Anatolii. **Zgoda na rozpoczęcie rozmów akcesyjnych z Turcją została podjęta raczej ze strachu niż z przekonania; ze strachu, iż w razie odmowy Europa zostanie oskarżona, tak, oskarżona, o to, że jest klubem krajów – o grozo – chrześcijańskich.** Ostatnią rzeczą, której

³³ J. Lewandowski, *Prawdziwe wyzwania i fałszywe recepty*, „Rz” z 11 stycznia 2006 r.; A. Łojewska, *Wielkie pieniądze dopiero przyjdą*, „Rz” z 23 września 2005 r.; *New Europe. Report on Transformation, For XVIth Krynica Economic Forum* (red. D. Rosati), Warszawa 2005; H. Bińczak, *Polak lepszy od Koreańczyka*, „Rz” z 18 stycznia 2006 r.

Europejczycy by sobie życzyli, jest tego rodzaju oskarżenie. Nieistotne są wszakże niepewne korzyści ekonomiczne (ktoś będzie musiał zapłacić za Turcję, a będzie to cena najwyższa płacona kiedykolwiek za pojedynczy kraj). W sensie geopolitycznym ewentualne przyjęcie Turcji to raczej ryzyko niż korzyść: UE uzyskałaby w ten sposób bezpośrednią granicę z Syrią, Irakiem i Iranem. Są to kraje, które nie kryją swej wrogości wobec Europy. Ogromny wysiłek w sferze polityki zagranicznej, bezpieczeństwa i obrony należałoby skierować na stabilizowanie (osłonę) otoczenia Turcji. Sprawą zasadniczą jest jednak odrębność cywilizacyjna Turcji, która od wieków wdziera się do Europy jej kosztem. Przyjęta przez ten kraj po I wojnie strategia herodianizmu (A. Toynbee) ma na celu przetrwanie „starcia” cywilizacyjnego z Europą, czy szerzej Zachodem, poprzez przyswojenie sobie jej instrumentarium w sferze gospodarczej czy ustrojowej. Z absorpcją jej najgłębszych wartości i standardów cywilizacyjnych jest zupełnie inaczej. W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat z lepszym lub gorszym skutkiem czyniła to turecka armia, która zajmuje szczególne miejsce w życiu tego kraju. Jak przyznaje jeden z wybitnych tureckich znawców problemu, to armia doprowadzi Turcję do Europy: „W świadomości przywódców wojskowych i wielu osób w samym społeczeństwie **Turcja jest zagrożona daleko bardziej czymś innym niż podziały geologiczne. Są to podziały społeczne, ale także etniczne, sekciarskie i ideologiczne i niemający odpowiedniego poparcia społecznego proces polityczny nie byłby w stanie zapobiec temu, aby rozerwały one cały kraj. Wojskowi widzą swoją rolę w chronieniu Turcji przed tymi podziałami.** Domaganie się przez UE osłabiających rolę armii reform jako warunku zbliżania się do Unii może przedwcześnie pozbawić armię zdolności do odegrania powyższej roli, zanim odpowiednia alternatywa, czyli demokratycznie wiarygodne i silne instytucje, będzie zdolna tę rolę przejąć, co sprawia, że wielu wojskowych w tym kraju staje się nerwowych”³⁴. W świetle powyższego poglądu trzeba sobie zadać podstawowe pytanie, czy Europa chce narazić powodzenie swojego projektu poprzez zaakceptowanie tego członkostwa z dobrodziejstwem inwentarza. Tak się zapewne stanie, bo Europejczycy dadzą się zastraszyć domagającym się członkostwa Turcji w UE Anglosasom (Anglikom i Amerykanom) oraz tym, którzy szantażują europejską niechęć do przyjęcia Turcji oskarżeniem o populizm i hermetyczność na chrześcijańskim podłożu (co jest szczególnie absurdalne w obliczu oporu samych oświeconych Europejczyków przed zamieszczeniem w preambule do traktatu konstytucyjnego jakiegokolwiek wzmianki o chrześcijańskich korzeniach Europy). Należy pamiętać, że **poza członkostwem istnieje całe spektrum środków i możliwości bliskiej i wzajemnie korzystnej współpracy UE z Turcją, współpracy niewystawiającej na szwank tożsamości obu stron.** Z argumentem, że rozszerzanie UE jest najlepszą formą upowszechniania demokracji i praw człowieka, polemizuje także William Pfaff: „To jest wspaniałomyślna idea. Ponieważ jednak teoria jest błędna – nie ma żadnego dowodu na uniwersalność trendu w kierunku demokracji, raczej jest wiele dowodów przeciwko takiemu założeniu – UE **mogłaby zaoszczędzić rozczarowań swoim członkom i uniknąć uniwersalno-światowej**

³⁴ E. Aydinli, *The military can steer Turkey toward Europe*, „IHT” z 14–15 stycznia 2006 r.

misji. Jeśli tak się stanie, przyszli historycy powiedzą zapewne, że wpływ Europy w świecie w 2006 roku i później polegał przede wszystkim na tym, że udało się jej dostarczać światu cywilizującego przykładu sprawiedliwości i ludzkiej demokracji. Jakość przemawia, nawet w stosunkach między narodami³⁵. Porażka europejskiego projektu budowy tolerancji i demokracji w Kosowie jest silnym przykładem potwierdzającym powyższe stanowisko³⁶.

Poważnym wyzwaniem, przed którym stanęła Europa, co uwidoczniło się w całej mocy w ciągu ostatnich miesięcy, jest ułożenie stosunków ze światem islamu. Chodzi tu zarówno o kraje arabsko-islamskie, jak i tę część islamu, która pod wpływem krótkowzrocznej polityki imigracyjnej państw zachodnioeuropejskich już zamieszkuje Europę. Widać bardziej niż wyraźnie, iż także europejscy wyznawcy islamu nie zamierzają przyjąć wartości i często standardów prawnych, które są dorobkiem Europy w zakresie praw człowieka i demokracji. Jeszcze trudniejsza, a właściwie niemożliwa, jest akceptacja zachodniej wersji demokracji (o prawach człowieka tutaj już w ogóle nie warto mówić) na obszarze arabskich krajów islamu. Znalezienie właściwego i długotrwałego *modus vivendi* w stosunkach ze światem islamu jest sprawą o najwyższym znaczeniu dla Europy. Należy przy tym wyraźnie odróżniać dwa aspekty tego zagadnienia. Pierwszym jest jednoznaczna i twarda reakcja na agresywne zachowania wyznawców islamu zamieszkujących Europę; chodzi tu na przykład o rebelię wywołaną jesienią 2005 r. przez francuskich muzułmanów, z jednej strony odmawiających integracji ze społeczeństwem francuskim, a z drugiej domagających się dla siebie specjalnych praw i przywilejów. Mieści się w tym aktywne zwalczanie terroryzmu, zwłaszcza niedopuszczanie do tego, aby terroryści mogli być rekrutowani czy formowani w islamskich wspólnotach (mechetach, szkołach) zamieszkujących Europę. Drugim aspektem jest konieczność powstrzymywania się od działań, które są agresją wobec świata arabsko-islamskiego i są odbierane jako zamach na jego tożsamość i prawa do samostanowienia poszczególnych jego narodów (np. okupacja Iraku). Tutaj także znajduje się zagadnienie unikania prowokacyjnych wobec wyznawców islamu aktów bluźnierstwa, na które Europejczycy pozwalają sobie niekiedy w imię fałszywie pojmowanej wolności słowa. Wolność słowa nie jest, jak wiadomo, prawem absolutnym i również w społeczeństwie przewidziane są dla niej pewne ograniczenia (tak stanowią europejskie i uniwersalne konwencje praw człowieka). Dotyczy to również stosunku do religii. Jest rzeczą zdumiewającą, choć niestety bardzo europejską, jak bardzo nierozumne i wyzywające wobec muzułmanów karykatury proroka zamieszczone w końcu stycznia br. w duńskiej gazecie wywołały solidarność głupoty i nieodpowiedzialności europejskiej prasy, co doprowadziło do znanych wystąpień w krajach islamskich. Całość sprowokowana w imię rozgłosu i wzrostu nakładu (czytaj: zysku) świetnie wpisała się w koncepcję zderzenia cywilizacji. Jeszcze raz

³⁵ W. Pfaff, *Sebaks that bode well for Europe*, „IHT” z 31 grudnia 2005 r. – 1 stycznia 2006 r.; odmienne stanowisko m.in. w: J. Pawlicki, *Czemu „tak” dla Turcji w Europie*, „GW” z 5 października 2005 r.; G. Merriitt, *Europe is going to need Turkey*, „IHT” z 10 października 2005 r.; R. Bernstein, *Europe, not just Turkey, must look at changing*, „IHT” z 7 października 2005 r.

³⁶ M. Szule, *Tylko dla Albańczyków*, „Rz” z 2 stycznia 2005 r.

potwierdziło się spostrzeżenie poczynione przez samego Samuela P. Huntingtona: to zderzenie nie jest nieuchronne, jego przejawy będziemy zauważać zawsze wtedy, gdy muzułmanie będą odczuwać zachodnią presję jako dominację zagrażającą ich kulturowej tożsamości. Zacytujmy tylko dwa komentarze do tego, co się stało. Oba mówią wiele o nas samych, o dzisiejszym stanie ducha Europy. „W Europie, pisał o. Jacek Salij, zostaliśmy już wyćwiczeni do udawania, że w bluźnierstwie nie widzimy niczego niestosownego i że profanowanie najdroższych wartości wiary chrześcijańskiej w gruncie rzeczy nam się podoba (...). To, co się dzieje na ulicach miast muzułmańskich, przypomina tańce rytualne wojowników przygotowujących się do wojny. Wojenne zaś tańce to już nie żarty, bo nie służą one usuwaniu nagromadzonych nieprzyjaznych energii, tylko ich powiększaniu”. Nie inaczej rzecz widzi znany francuski publicysta Bernard Guetta: „Cóż to chciały powiedzieć lub udowodnić te wszystkie gazety europejskie, w tym «Rzeczpospolita», które przedrukowały lub nadal przedrukowują karykatury Mahometa? (...) Powtarzanie tego z gazety w gazetę w atmosferze licytacji tworzy w końcu wrażenie, że te karykatury wyrażają umyślną wolę europejskiej prasy, by zranić w ich wierze miliard mężczyzn i kobiet. By pokazać im w obraźliwym geście środkowy palec. Jest to co najmniej niezręczne. To jest nawet totalnie absurdalne. Wspomniane wrażenie nie jest całkowicie bezpodstawne i zbyt wyraźnie daje się słyszeć w fackie tych przedruków: «Mamy was w d...». Jaki jest tego skutek? Dzikie, nieproporcjonalne i obrzydliwe akty przemocy w krajach od Bliskiego Wschodu do Azji odpowiadają dobrze na to pytanie”. Zdaniem tego publicysty islamiści otrzymali niespodziewaną okazję do rozpalenia namiętności, podczas gdy reformatorzy w krajach islamu zostali przez ten błąd europejskiej prasy zablokowani³⁷. Ta wojna na papierowe szable (karykatury) wywołana przez dziennikarzy z Europy przypomina zachowanie arystokracji, którą w sytuacji spychania z historycznej sceny stać jedynie na szyderstwo i która do końca nie rozumie, że przyczyną obalającej ją rewolucji są jej własne gromadzone od dawna błędy i próżność.

ROSJA – W OKOWACH HISTORII, UKRAINA – UCIECZKA OD HISTORII

Zajęty sobą Zachód – USA „wojną z terrorem”, UE opłakiwaniem konstytucji – podarował Moskwie szansę stworzenia wrażenia, że Rosja wraca do gry. Zręczny prezydent Putin nie przepuścił okazji, zwłaszcza że potężny napływ gotówki za coraz droższą ropę radykalnie poprawił mu komfort sprawowania władzy i poszerzył pole manewru na geopolitycznej szachownicy. Dzięki temu mogliśmy być świadkami mocarstwowych imprez, zachowań, dąsów, asertywności na pokaz i prężenia mięśni. Problem w tym, że wszystkie te prezentacje nie przybliżały Rosji do normalności, zarówno wewnętrznej, jak i międzynarodowej. Ten syndrom mocarstwa na glinianych nogach, lecz o nuklearnych pięściach, trafnie charakteryzuje Richard Hass, przewodniczący nowojorskiej Rady ds. Stosunków Zagranicznych (szef pla-

³⁷ O. Jacek Salij, *Dwie uwagi w sporze o karykatury*, „Rz” z 8 lutego 2006 r.; B. Guetta, *Rozniecanie pożaru*, „Rz” z 10 lutego 2006 r.; zob. też J. Vinocur, *Europe needs to decide how to live with islam*, „IHT” z 26 lipca 2005 r.; I. Krzemiński, *Rażąca broń ideologii*, „Rz” z 29 lipca 2005 r.

nowania w Departamencie Stanu w pierwszych latach prezydentury G.W. Busha): „Na pierwszy rzut oka wydaje się, że Rosja pod wieloma względami odpowiada charakterystyce wielkiego mocarstwa. Dysponuje potężnym arsenałem nuklearnym, jest stałym członkiem Rady Bezpieczeństwa ONZ, posiada olbrzymie zasoby ropy naftowej, gazu ziemnego i innych surowców mineralnych, jej gospodarka rozwija się ostatnio w szybkim tempie, a jej terytorium, choć obejmuje zaledwie trzy czwarte ziem dawnego ZSRR, jest większe niż terytorium jakiegokolwiek innego kraju. **Natomiast z dokładniejszej analizy wylania się zupełnie inny obraz Rosji.** Znaczna część jej bogactwa nie pochodzi z produktywnej działalności gospodarczej, lecz odzwierciedla wzrost cen surowców energetycznych. Rosyjskie wojsko niewiele sobą reprezentuje w sensie użytecznej militarnej siły. Rosja ma dziś mniej mieszkańców niż Pakistan, a spadek liczby ludności w tempie 500 tysięcy rocznie powoduje, że znaczne obszary olbrzymiego rosyjskiego terytorium są prawie niezaludnione. Przewidywana długość życia rosyjskich mężczyzn wynosi dziś mniej niż 60 lat, co jest skutkiem alkoholizmu, przestępczości, narkomanii, chorób i koszmarnego publicznego systemu opieki zdrowotnej”. Rosja, zdaniem Hassa, jest niestabilna politycznie, ekonomicznie i pod względem bezpieczeństwa, a strata jej (ZSRR) wielkomocarstwowej pozycji doprowadziła do powstania skrajnego i – potencjalnie wojowniczego – nacjonalizmu. „Historia uczy, konkluduje Hass, że schyłkowe mocarstwa mogą stanowić dla świata wyzwanie nie mniejsze niż nowo powstające potęgi”³⁸. Obserwacja Hassa, przecież nie nadmiernie odkrywczą dla specjalistów z naszej części Europy, potwierdza jednak pewną niezmienność kierunku rozwoju sytuacji w Rosji, przynajmniej od kilku lat, oraz fakt, że zaczyna to być coraz trzeźwiej dostrzegane także na Zachodzie; wcześniej żywiono się tam sporą dawką myślenia życzeniowego o rosyjskich przemianach, a analizy i oceny formułowane np. w Polsce zbywano komentarzem o wrodzonej rusofobii Polaków. Rosyjska polityka, zarówno w warstwie retorycznej, jak i czynów, wewnętrzna i zagraniczna, dostarczyła w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy wielu argumentów na rzecz tezy o rozchodzeniu się dróg Rosji i Zachodu (tak Europy, jak Ameryki). **Putin postanowił rozwiązać wszelkie złudzenia na temat strategicznych związków z Zachodem** (nawet jeśli tylko na podłożu „wspólnej” walki z terroryzmem) czy też modernizacyjnego wyboru Rosji poprzez szeroką i otwartą współpracę i współzależność z Zachodem. Ten okres stał pod znakiem ostrej antyzachodniej retoryki (niemal jak w czasach komunistycznych), doszukiwania się w różnych wydarzeniach „ręki Zachodu”, otwartego odrzucania zachodnich standardów w sferze sposobu rządzenia i praw człowieka. Rozziew w sferze wartości i nieufność wobec polityki i samej cywilizacji Zachodu ujawniły się nadzwyczajnie na tle sporu o Ukrainę. Porażka w tym sporze była dla rosyjskiej, a właściwie nadał wyłącznie postsowieckiej, elity władzy argumentem na rzecz wzmocnienia autorytarnego charakteru ustroju FR, konsolidowanego przez wszechobecność w strukturach władzy putinowskiego „bractwa czekistów”. **Rosja postanowiła być „Arabią Saudyjską z bronią nuklearną”** (w latach 90. mówiono o niej jako o Górnej Wolicy z głowicami jądrowymi),

³⁸ R.N. Hass, *Rosyjskie realia*, „Rz” z 7 listopada 2005 r.

w czym nie miała jest zasługa samego Zachodu, który długi czas tolerował ewolucję w tym kierunku. Jak w przypadku Arabii Saudyjskiej łącznikiem z Zachodem jest jedynie pieniądź za ropę, natomiast bezpieczeństwo, w odróżnieniu od dworu saudyjskiego, Rosja zapewnia sobie sama. I podobnie jak w Arabii Saudyjskiej, nie ma miejsca na społeczeństwo obywatelskie, wolne media, demokratyczne zasady czy prawa mniejszości. Rolę rozległej rodziny królewskiej, która stabilizuje strukturę władzy, odgrywają wszyscy ludzie prezydenta, czyli byli kagiebiści. Jak wiadomo, prezydent Putin jest przywiązany do mitu KGB, profesjonalnej elity sowieckiej, której jedyną misją była służba państwu i narodowi. Rosji, podobnie jak Arabii Saudyjskiej, nie jest potrzebne otwarcie na świat – wystarczą dobre kontakty dworu ze światem, który od rosyjskiej wersji Arabii Saudyjskiej istotnie zdaje się nie oczekiwać niczego więcej jak tylko dostaw surowców energetycznych i stabilności; to drugie wymaga oczywiście tolerancji dla metod zwalczania terrorystów, którzy by mogli tę stabilność podważyć. Spajającą funkcję religii w Rosji zdaje się jednak pełnić nie tyle prawosławie, ile nacjonalizm (wspierany przez prawosławie)³⁹.

Czynnikiem, który istotnie wpłynął na dobre samopoczucie Rosji, był wzrost cen ropy naftowej i gazu na rynkach światowych i ogromne uzależnienie Europy od dostaw tych surowców, choć nie jest to jeszcze uzależnienie od Rosji. Dwie trzecie rosyjskiego wydobycia trafia na eksport, co pozwala Rosji nie tylko finansować potrzeby społeczne, utrzymywać w równowadze parametry makroekonomiczne, zwiększać rezerwy dewizowe, spłacać (nawet przed czasem) raty kredytów, ale również przeznaczać część zarobionych w ten sposób pieniędzy na siły zbrojne (w tym na rozwój drogich badań). Jest w tym jednak również odwrotna strona medalu. Łatwy pieniądź zwalnia od potrzeby reform, nie tylko reform gospodarczych, ale od modernizacji całego państwa, także w jego aspekcie prawno-instytucjonalnym. To jeszcze jedno podobieństwo Rosji do arabskich krajów naftowych. Tam gdzie jest ropa, nie ma reform polityczno-ustrojowych i tam dominują skorumpowane ustroje autokratyczne. Pokusa przekształcenia zasobów energetycznych w broń dała o sobie znać w szantażu, jakiego dopuściła się Rosja wobec Ukrainy w grudniu 2005 r., na tle sporu o ceny, które Rosja, wykorzystując swoją monopolistyczną pozycję dostawcy, chciała wykorzystać nie tyle dla zwiększenia zysku z eksportu, ile wpłyńnięcia na politykę Ukrainy. Moskwa nie zawahała się przy tym narazić na szwank bezpieczeństwa energetycznego europejskich odbiorców rosyjskiego gazu. Zwiększeniu skuteczności ropy jako politycznej broni służyć miało także wzmocnienie Gazpromu w roli instrumentu polityki Rosji (Gazprom przejął znaczną część byłego imperium Chodorkowskiego, dzieląc się z innym, lecz posłusznym Kremlowi oligarchą Romanem Abramowiczem, zaliczanym do grupy tak zwanych złodziejskich baronów, a zarazem gubernatorem Czukotki i właścicielem londyńskiego klubu Chelsea, co pokazuje, iż Brytyjczycy pozostają wierni starożytnej zasadzie *pecunia...*). Cała ta w sumie niezbyt groźna, choć medialnie bardzo dramatyczna, awantura o gaz miała jednak pewną wadę z rosyjskiego punktu widzenia. Stała się

³⁹ S. Glasser, P. Baker, *Bractwo czekistów*, „Rz” z 1–2 października 2005 r.; A. Piontkowski, *Rosyjska psychoza*, „GW” z 29–30 października 2005 r.; V. Landsbergis, *Droga w przepaść*, „Rz” z 17–18 grudnia 2005 r.; M. Kaczmarek, *Zbliżenie czy zerwanie?*, „Rz” z 13 stycznia 2005 r.

mianowicie głośnym dzwonkiem alarmowym dla państw Unii Europejskiej, a nawet Stanów Zjednoczonych. Kraje Unii i NATO zaczęły głośno mówić o wspólnej polityce energetycznej, która uczyni je mniej zależnymi od dostaw rosyjskich (ale także dostaw z arabskich autokracji) i może w sumie oznaczać zarówno stopień samej broni energetycznej, jak i – bardziej długofalowo – spadek zysków ze sprzedaży tych surowców. Być może ostatnim błędem, jaki państwa europejskie uczyniły w tym zakresie, będzie gazociąg bałtycki, w którego sprawie porozumienie podpisano kilka miesięcy przed moskiewskim szantażem wobec Ukrainy. Sygnał ostrzegawczy, jaki wyszedł z Moskwy, powinien być potraktowany szczególnie poważnie przez te kraje, takie jak Polska, które ze względów historycznych (przynależność do bloku sowieckiego) i politycznych (zaniechania i mechanizmy korupcyjne po 1990 roku) pozostają w niedopuszczalnie wysokim (70–90% dostaw pochodzi z Rosji) stopniu uzależnienia od niej w tej dziedzinie⁴⁰.

O tym, iż Zachód, w tym Polska, jest skazany na „trudną” Rosję, przekonuje nie tylko antyzachodnia retoryka, fobie i kompleksy rosyjskiego establishmentu, lęk przed aktywnością elementarnych składników demokracji (wolnych mediów czy organizacji pozarządowych), lecz również stosunek do historii. Słusznie powiada się przecież, że to, jak myślimy o przeszłości, mówi o tym, kim jesteśmy dzisiaj. W 2005 roku Moskwa dała taki popis swego myślenia o przeszłości, który musi zatrwajać jej zachodnich partnerów. Tutaj nie chodzi o groźby dla bezpieczeństwa Zachodu (także Polski) – Rosja nie stanowi dlań militarnego zagrożenia – lecz właśnie o tożsamość Rosji. W tym sensie polskie spory z Rosją o historię (sierpień i wrzesień 1939, Katyń, Jałtę czy ocenę tego, czym było zajęcie naszej części Europy przez Armię Czerwoną) nie mają wcale takiego lokalnego charakteru, jak można by sądzić⁴¹. Aranżacja przez Kreml uroczystości 60. rocznicy 9 maja 1945 roku była prezentacją jednostronnej wizji historii, w której nie było miejsca nawet na wzmiankę o sojuszu Związku Sowieckiego i nazistowskich Niemiec w pierwszych latach II wojny światowej. Jeszcze większe zdumienie poza granicami Rosji wzbudziło oświadczenie Putina określające upadek Związku Sowieckiego jako „największą katastrofę geopolityczną XX wieku”. Poza Rosją to właśnie powstanie ZSRR uchodzi za taką katastrofę. Powrót Putina do sowieckiej retoryki czy do opierania się na współtowarzyszach eks-kagiebiście zdaje się mówić, że prezydentura Borysa Jelcyna była jedynie radosnym, choć istotnie bezładnym antraktem w historii Rosji, której dzisiaj bliżej do tradycji Iwana Groźnego niż Piotra Wielkiego.

Sytuacja na **Białorusi** pozostaje w bezruchu, przynajmniej powierzchownie tak wygląda. Niewiele też jednak wskazuje na to, aby coś bardziej istotnego miało się dziać pod znaną powierzchnią białoruskiej polityki. Zapewne gdyby nie nękanie przez reżim Łukaszenki organizacji polskiej mniejszości narodowej, to przedziwne państwo na granicy UE i NATO nie budziłoby niczyjzego zainteresowania. Zamknięte w sobie, odwrócone od Europy, zwrócone ku Rosji, a wręcz zdające się **przedłuże-**

⁴⁰ J. Hoagland, *Przysługa dla Kremła*, „Rz” z 24–25 września 2005 r.; S. Popowski, *Wojna gazowa o Ukrainę*, „Rz” z 2 stycznia 2006 r.; C.R. Whitney, *Putin's Russia turns trade into a political weapon*, „IHT” z 3 stycznia 2006 r.; A. Słojewska, A. Łakoma, *Surowce jako środek nacisku*, „Rz” z 18 stycznia 2006 r.

⁴¹ A. Argunowa, *Historia Polski na Kremlu pisana*, „Forum” z 13–19 czerwca 2005 r.

niem Rosji ku Zachodowi, nie jest przedmiotem niczyich obaw ani nadziei. Może z wyjątkiem Polski, która jest podwójnie zainteresowana europeizacją Białorusi: z uwagi na polską mniejszość i jej prawa oraz ze względu na wspólną granicę i rosyjską kontrolę nad tym krajem. Właśnie jednak dlatego Polsce – jako jedynemu krajowi UE głęboko zainteresowanemu zmianą sytuacji na Białorusi – trudno jest odgrywać rolę czynnika tej zmiany. Polska nie może narażać na szwank położenia własnej mniejszości narodowej, a także nie może być posądzana przez Moskwę o działania, które ze względu na rosyjskie interesy na Białorusi mogłyby być interpretowane jako nieprzyjazne. W obu przypadkach mogłoby dość w reakcji do zagrożenia naszych interesów narodowych. Konieczne jest zatem nastawienie się na swoisty „długi marsz”: Białoruś musi stać się problemem Europy. Trzeba przy tym mieć na uwadze to, że Białoruś, podobnie jak Myanmar, jest mało podatna na zewnętrzne oddziaływania ze względu na niski stopień współzależności międzynarodowej. Na Białorusi nie może też dojść do poważnych zmian bez udziału społeczeństwa, którego stopień zsowietyzowania (przywiązania do sowieckiego modelu społecznego) i zruszczenia (niski poziom odrębnej świadomości narodowej) jest nadal wysoki. Wpływy proeuropejskiej opozycji demokratycznej są ograniczone. Prezydent Łukaszenka dla pewności posługuje się manipulacjami dla utrwalenia swojej władzy, lecz i bez tych manipulacji wygrywałby zapewne kolejne „wybory”. Klucz do sytuacji na Białorusi, czy się to Europie podoba, czy nie, znajduje się w Rosji, dla której ten kraj zachowuje strategiczne znaczenie, oferuje jej bowiem lądowy styk z Europą Zachodnią (obszarem UE i NATO). Stabilność sytuacji na Białorusi jest zresztą także ważna dla samej Europy, w oczach której jest to terytorium, przez które dokonywany jest tranzyt surowców energetycznych z Rosji i produktów zachodnich do Rosji. Oznacza to, że drogą do kontrolowanej ewolucji nie będzie strategia otwartej ofensywy, lecz długotrwałe i cierpliwe działania pośrednie⁴².

Znacznie większe nadzieje budzi rozwój sytuacji na Ukrainie po przesileniu zwanym pomarańczową rewolucją. Owszem, sytuacja polityczna pozostaje tam w najlepszym razie labilna, lecz jest to typowe dla kraju wychodzącego z kryzysu, który był rezultatem długiego bezruchu (od uzyskania niepodległości do wydarzeń na placu Niepodległości). Mieliśmy do czynienia z nieco podobnym politycznym szamotaniem w krajach naszego regionu po Wiośnie Ludów '89. Dlatego mniej ważna jest zmienność koalicji parlamentarnych i ludzi na ważnych stanowiskach rządowych, wszak można przypomnieć niezbyt oryginalnie, iż rewolucja „pożera własne dzieci” (widzieliśmy to także w Polsce). Problemem poważniejszym jest natomiast wolne tempo inicjowanych przez władzę reform. Grozi to z jednej strony utratą tempa zmian i społecznego przyzwolenia na nie, a z drugiej strony frustracją, iż nie ma obiecanych efektów „rewolucji”. Jest to tym poważniejsze, że „wielkim hamulcowym” w ucieczce Ukrainy od historii pozostaje i pozostawać będzie Rosja, czego przejawem był wspólny szantaż gazowy autorstwa Kremla i Gazpromu, który zmusił Kijów do pewnych koncesji (przyzwolenie na udział Rosji w dysponowaniu

⁴² A. Brzeziecki, *Pułapka Łukaszenki*, „GW” z 29 lipca 2005 r.; A. Podolski, *Mińskie manewry*, „GW” z 1 sierpnia 2005 r.; M. Lenzi, *Poles deserve the West's support*, „IHT” z 30–31 lipca 2005 r.

ukraińską siecią przesyłową). Tak będzie stale, dopóki nie zmieni się obecna, uwięziona w historyczno-cywilizacyjnym genotypie polityka Rosji. Szansą dla Ukrainy, i to zdaje się coraz pełniej dostrzegane przez ukraińską klasę polityczną i rosnącą część społeczeństwa, jest zbliżanie się do NATO i UE. Obie te instytucje już rozumieją stawkę, jaką są ukraińskie przemiany, i coraz szerzej angażują się w ich wspieranie. Wspólnym, ukraińskim oraz euro-amerykańskim wysiłkiem możliwe staje się wyrwanie Ukrainy z oków złej historii, co w ostatecznym rachunku powinno pozwolić także na wyzwolenie się z nich samej Rosji⁴³.

⁴³ S.J. Flanagan, E. Rumer, *Don't go wobbling on the orange*, „IHT” z 30 września 2005 r.; A. Szeptycki, *Europa od Brestu po Don*, „Polski Przegląd Dyplomatyczny” 2006, nr 1.